

Kamery

Rok założenia 1933

LUBLIN 9.XI.1969. Nr 23 (430)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Moskwa 1969

Przed 100-leciem urodzin Włodzimierza Lenina

Taki był zawsze

Zdzisław Cackowski

„Widma krąży po Europie, widmo komunizmu” (Marks, Engels, 1848).
„Towarzysze, rewolucja socjalistyczna, o której konieczności ciągle mówili bolszewicy, dokonała się” (Lenin, październik 1917).

SIEDEMDZIESIĄT lat upłynęło między momentami wypowiedzenia obu tych zdań. Wiele, bardzo wiele przeżyła Europa zanim komunizm z widma stał się rzeczywistością. Wiosna Ludów i Komuna Paryska, powstania robotnicze i rewolucja 1905 roku, wojna światowa i Rewolucja Lutowa. Poprzez czasowe triumfy i gorzkie porażki rósł i krzepł w tym czasie proletariát europejski, nabywały politycznego doświadczenia jego partie, gruntowną też próbę przechodzili przywódcy tych partii. I kiedy zestawiamy dzisiaj listę tych najwybitniejszych przywódców rewolucji robotniczej, którzy wszystkie próby dziejowe w owym okresie przeszli z honorem, wówczas ponad wszelką wątpliwość każdy na miejscu pierwszym postawi nazwisko Lenina. Jego życie i działalność wyznacza najklarowniej pomost między komunistycznym widmem i komunistyczną rzeczywistością.

Pytamy dzisiaj, jak to się stać mogło i jak to się stało, że życie jednostki spłótno się tak mocno z potężnym ruchem społecznym i tak jasny dało mu wyraz? Przez to pytanie szukamy tych cech osobowości Lenina, które wytłumaczyłyby

nam jego wyjątkową rolę dziejową. Wymieniając jednak nazwy cech osobowościowych Lenina, które uczyniły go osobieniem rewolucji, narażamy się na zarzut, iż wymieniamy cechy banalne, w jakimś tam stopniu właściwe każdemu człowiekowi. I na pierwszy rzut oka uwaga taka może się wydać słuszna. Wymienia się zwykle wśród cech osobowości Lenina jego wrażliwość na zło społeczne, jego pasję poznawczą, badawczą i nauczycielską, połączoną z darem oratorskim, jego rewolucyjną wolę. Cechy te rzeczywiście odnaleźć można u wielu, bardzo wielu ludzi.

To wszakże, co Lenina różni od przeciętności, wyrasta z intensywności owych cech: różnica ilościowa przybiera tu charakter różnicy jakościowej, podnosząc osobowość Lenina do poziomu herosa rewolucji. Aby nie pozostawić tego zdania bez pokrycia, aby nie pozostać wrażenia, że jest ono tylko oratorską błyskotką, poświęćmy wymienionym cechom osobowości Lenina po kilka słów komentarza.

Aby zrozumieć swoistość wrażliwości Lenina na krzywdę ludzką, na niesprawiedliwość społeczną, trzeba zdać sobie sprawę ze zwykłej ewolucji, jakiej ta cecha ulega u każdego prawie człowieka od lat dziecięcych do wieku późnego. Wrażliwość na krzywdę ludzką i niesprawiedliwość posiada u dziecka charakter bezwzględny; jest buntownicza i nierozumna; wrażli-

Dokończenie na str. 5



Nowy Arbat, Prospekt Kalnina.

Fot. Danuta B. Łemiszewska

PORZĄDKUJĘ swoje notatki ostatniego dnia pobytu, gdy zza okna hotelu „Berolina” dobiega huk bębnowy i klan-gor trąbek. Przed chwilą, siadając do stołika, wychyliłem się i spojrziałem w dół. Właśnie rozpoczęli swoją zonglerkę pałeczkami. Równiutko ustawiony oddział: ośmiu z bębni, ośmiu z werblami, jeden dźwiga ogromny bęben. Jeden klaszcze w talerze, a obok raz, dwa, trzy — siedem trójek trębaczy. Przed nimi stoi ich dowódca. Równie młody jak jego podwładni, wymachuje laską z wielką kłitą ze sprawnością policjanta na ruchliwym skrzyżowaniu.

Przestali hałasować. Stoją na spoczynku. Ale gdzieś w perspektywie Karl-Marx-Allee odezwała się druga taka sama „silna grupa”. Jest dzisiaj święto narodowe, dwudziesta rocznica ustanowienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej i trzeci, ostatni dzień olbrzymiego zlotu młodzieży socjalistycznej spod znaku FDJ. Na pułstawach zazwyczaj placach i alejach Berlina od trzech dni jest pełno, tłoczno, gwarno, kolorowo. Dziewczęta noszą piękne pomarańczowe szafki z ortallionu, chłopcy skafandry z granatowej, a wszyscy ciemnoniebieskie koszule, pstrokate chusty, proporce i żółte odznaki Freie Deutsche Jugend. Mieszają się z nimi szarozielone mundury młodych żołnierzy z Volkarmee i ciemnozielone mundury policjantów z Volkspolizei. Maszerują, bębnią, trąbia, skandują, tańczą, śpiewają.

Wczoraj rozgłosnie witali przejeżdżające przez miasto delegacje bratnich partii, przybyłe na uroczystości dwudziestolecia. O uroczystościach tych obszernie relacje przyniosła nasza prasa codzienna. Podano treść przemówień. Opisano defiladę. Nie

będę więc powtarzał tych informacji. Mnie przede wszystkim zainteresowali ci młodzi, falujący na ulicach. Wczoraj wieczorem przeszli w olbrzymim dwustutysięcznym capstrzyku przez śródmieście, niosąc rzekę zapalonych pochodni. Dziś wzmą udział w defiladzie, już zbierają się w paru punktach miasta, tak jak przy mostach na Szprewie stoją już gotowe pulki czołgów, oddziałów raketowych, transporterów

zmieniła tu historia w ciągu dwudziestu paru lat.

Ci młodzi mają właśnie po dwadzieścia lat. Urodzili się już po wojnie. Nie brali w tamtym wszystkim udziału. Znają bombardowania tylko z opowiadań rodziców, a głód tylko z młodości. A teraz, gdy wkraczają w wiek dojrzały, są już obywatelami wysoko uprzemysłowionego, ogromnie szybko rozwijającego się kraju socjalistycznego,

30 września, godz. 19.

„Pokój” Arystofanesa na dużej scenie Deutsches Theater, w reżyserii Benno Besson. Przedstawienie znajduje się w repertuarze teatru od trzech lat i jest uważane za jedno z najlepszych w Berlinie na przestrzeni ostatnich paru lat. Chyba rzeczywiście wyraźnie prezentuje najmocniejsze strony społecznego teatru w NRD — dobre rzemiosło aktorskie i reżyserskie, z

Na scenach Berlina

Notes z podróży do NRD

Kazimierz Braun

pancernych, które przez ostatnie trzy noce ćwiczyły defiladę. Główna trybuna ustawiona jest na placu Karola Marksa, na tle nowo zbudowanej, gigantycznej wieży telewizyjnej i czterdziestopiętrowego Hotelu Stadt Berlin. Przyjdą od strony Alexanderplatz, potem skrucą na Unter den Linden — słynną aleję pod lipami, dojdą do Bramy Brandenburskiej, gdzie Unter den Linden przegrodzona jest murem, więc tam znów skrucą w lewo, aby przejechać obok wielkiej, pustej, zielonej łąki, gdzie gęsta, soczysta trawa porasta miejsce po gmachu Kancelarii III Rzeszy, a obły, nieduży wzgórek jest jedynym wyznacznikiem miejsca zakopania spalonych zwłok Hitlera. Doprawdy wiele

ostatnie ruiny osuwają się w głąb ich pamięci, tak jak resztki gruzów i spalonych budowli osypują się pod naporem spychaczy lub są restaurowane i na nowo tynkowane. Nawet tu, w Berlinie, mało jest już domów katek, bez dachów, poszerzonych przez pociski, z zamurowanymi wejściami. Małe przestrzenie pustych placów. Co myślą, co czują ci młodzi w dniu swojego święta?

Jako reżyser — muszę, niejako zawodowo, interesować się i historią i socjologią, choć nie zawsze umiem odpowiedzieć na wszystkie pytania z tych dziedzin. Jednak nie historia i socjologia — ale teatr był głównym przedmiotem moich zainteresowań w Berlinie.

niemaganną techniką mowy i ruchu. W „Pokój” Arystofanesa na dużej scenie Deutsches Theater, w reżyserii Benno Besson. Przedstawienie znajduje się w repertuarze teatru od trzech lat i jest uważane za jedno z najlepszych w Berlinie na przestrzeni ostatnich paru lat. Chyba rzeczywiście wyraźnie prezentuje najmocniejsze strony społecznego teatru w NRD — dobre rzemiosło aktorskie i reżyserskie, z

W ogóle we wszystkich przedstawieniach uderzyło mnie operowanie w znacznie większym niż gdziekolwiek indziej w Europie zakresie maszynierii teatralnej. Obrotówki, ruchome, przesuwane, obrotowe dekoracje i kulisy, huśtawki, flugi,

Dokończenie na str. 4

Inżynierowie nie chcą wiedzieć...

Stanisław Horasimiuk

BURZLIWY w naszym wieku rozwój technologii, która dostownie wyniosła człowieka na Księżyc, w bardziej praktycznych dziedzinach współczesnego życia, zwłaszcza w przemyśle, powoduje nagromadzenie tak olbrzymich zasobów wiedzy, że w jej natłoku łatwo zagubić się z kretelem. Co więcej, wcale nierzadko dzieje się tak, iż prace i badania naukowe w różnych, niekiedy nawet tych samych krajach, są dublowane kosztem niebagatelnych nakładów finansowych i pracy. Ten gwałtowny rozwój wiedzy technicznej, wyrażający się milionami tytułów różnorodnych prac badawczych i naukowych, setkami tysięcy patentów i wynalazków, milionami książek i czasopism, norm, opisów konstrukcyjnych i technologicznych — spowodował konieczność wprowadzenia nowej dyscypliny naukowej: informacji technicznej i ekonomicznej. W kraju całokształtem tej problematyki kieruje Centralny Instytut Informacji Naukowo-Technicznej i Ekonomicznej (CIINTIE). A jak jest w konkretnej praktyce gospodarczej naszego regionu, na Lubelszczyźnie?

Na początek „plon” skromnego rekonesansu, przeprowadzonego w zakładach przemysłu kluczowego, m. in. w krańcickiej KFWM, świdnickiej WSK, lubelskiej FSC. W każdym z tych zakładów powołany jest ośrodek (lub dział), który prowadzi dużą z reguły bibliotekę (od kilku do kilkunastu nawet tysięcy egzemplarzy). Wypożyczanie fachowej literatury, książek i czasopism polskich oraz zagranicznych, to tylko jedna z funkcji zakładowego ośrodka. CIINTIE systematycznie zaopatruje owe ośrodki w branżowe karty informacyjne, zawierające wszystkie nowości techniczne, bibliografię nowych pozycji wydawniczych (w FSC nawet beletrystycznych!) i taśmy magnetofonowe z nagraniami sudejczy popularnonaukowych, które odtwarzane są za pośrednictwem zakładowych radio-węzłów. Również Polski Urząd Patentowy regularnie przysyła opisy nowych patentów krajowych i zagranicznych. Wyselekcjonowane patenty i opracowania obcojęzyczne ośrodek zakładowy, po ich przetłumaczeniu, rozsyła do branżowo zainteresowanych komórek technicznych i wydziałów produkcyjnych zakładu, analogicznie jak polskie opracowania, patenty, karty informacyjne i inną dokumentację.

I tu właśnie zaczyna się kłopot, polegający na znikomym zainteresowaniu adresatów tej olbrzymiej, acz skondensowanej, w przystępnej formie przekazywanej wiedzy. Do wyjątków należy wydział, który zainteresuje się opisem nowych rozwiązań, a już do zupełnych unikatów zaliczyć można te, które rozwiązania owe usiłują u siebie zastosować. Z reguły cały materiał informacyjny, emitowany przez ośrodki zakładowe, zalega szuflady i biurka wydziałowych służb technicznych i tam pokrywa się malowniczą warstwą kurzu.

Brak zainteresowania wydziałowych kierownictw dla nowości technicznych jest do pewnego stopnia zrozumiałym — zdecydowany priorytet ma przecież produkcja. Wprowadzanie nowości to zawsze kłopot, nieuniknione perturbacje, a plan przecież nie czeka. Dział tu identyczny czynnik hamujący, co przy wdrażaniu projektów racjonalizatorskich: zanim pomyśl stanie się usprawnieniem, napsuje w czasie realizacji wiele krwi, a przy tym nigdy nie ma pewności, czy eksperyment się powiedzie; tymczasem za ryzyko płaci się słono, nierzadko premią własną i załogi... Są oczywiście wyjątki, jak chociażby Zakład Doświadczalny przy FSC i odpowiednio komórki w WSK i KFWM, ale wynikają one właśnie z charakteru badawczego placówek i w niczym nie zmieniają faktu, że

Dokończenie na str. 7

Zmarli

60-letni poeta i działacz rewolucyjny Leon Pasternak. W 1933 r. współzałożyciel powstającego z inspiracji KPP pisma „Lewar”, które było ośrodkiem polskich pisarzy rewolucyjnych i postępowych. Za działalność pisarską spędził 3 lat w więzieniach sanacyjnych i Beresie Kartuskiej. W czasie wojny znalazł się w ZSRR, gdzie wstąpił do Dywizji Kociuszki...

Akademia Szwedzka rozpatrzyła ponad 80 kandydatur, zgłoszonych do tegorocznej nagrody Nobla. W tym roku wynosi ona 375 tys. koron, tj. ok. 75 tys. dolarów. Otrzymał ją Samuel Beckett. Nowa międzynarodowa nagroda literacka w wysokości 18 tys. dolarów ufundowała czasopiśmie amerykańskie „Book's Abroad”...

Teatr

W Teatrze Kameralnym w Bydgoszczy odbyła się prapremiera sztuki Jadwigi Dackiewicz „Poeta miłośnik” w reżyserii Michała Rosińskiego. Bohaterem sztuki jest Alfred de Musset, o którym Dackiewicz już uprzednio napisała książkę „Odmiany miłości”...

Sztuka

W dniach 20-30 października odbyły się w całym kraju uroczyste obchody „Dni Kultury Rosyjskiej FSRR”. Inaugurację stanowił wielki koncert w Sali Kongresowej w Warszawie z udziałem przedstawicieli najwyższych władz partyjnych i państwowych...

Literatura

Na zaproszenie przebywającej w Polsce delegacji Związku Literatów Polskich delegacja pisarzy polskich uda się w lutym 1970 r. do Now Delhi na symposium pisarzy afro-azjatyckich. W grupie b.r. 5 członków ZLP wyjedzie do ZRA.

W Zakładach Chemicznych w Policach pod Szczecinem organizuje się zakładową galerię sztuki. Jej początek stanowi dorobek 11 absolwentów wyższych szkół artystycznych, którzy tam przebywali.

Muzeum nowojorskie zyskało w formie daru tzw. kolekcję Lehmana, złożoną z 3 tys. dzieł sztuki, ocenianych na ok. 100 mln dolarów. Warto dodać, że bankier Robert Lehman sumie tę odliczył od obowiązkowych podatków.

Realizm magiczny — to nowy kierunek w sztuce, zaprezentowany na wystawie grafików w Bernie przez artystę holenderskiego M. C. Eschiera. Na czym to polega, niestety, nie wiemy jeszcze.

Muzyka

Zespół „Breakout” występował w Holandii z bardzo dużym powodzeniem. Zaproszono go na przyszły rok i zaproponowano nagranie płyty.

Na międzynarodowym konkursie śpiewaków w Genewie pierwsze nagrody otrzymali Joo Yeon Lee, pochodząca z Korei południowej, oraz Roman Ionel Pantea. W konkursie fortepianowym zwyciężył Austriak Peter Efler.

„Podróż na Księżyc” — co zrealizować wydarzyło się 21 lipca 1969 r. o godz. 2.56 — taki jest tytuł opery, której twórcami są Jacques Brel i Jean-Marie Lander. Prapremiera odbędzie się w styczniu w Brukseli. Chodzi, oczywiście, o wyprawę Apollo-11.

Katherine Hepburn w niedługim czasie wystąpi w tytułowej roli komedii muzycznej „Coco”. Odtwarzać ona będzie osobę Gabrieli Chanel, jednej z dyktatorek mody kobiecej. Stąd w komedii będzie można podziwiać 253 efektowne suknie. Aktorka debiutuje w roli śpiewaczki.

Różne

W Łysych w pow. kolneńskim powstało Kurpiowskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, obejmujące także powiaty łomżyński i ostrołęcki.

Ukazał się szósty i ostatni tom „Historii ludzkości”, monumentalne wydawnictwo UNESCO, opracowane przez wybitnych naukowców z różnych krajów świata. Tom I obejmuje epokę prehistoryczną, II — starożytność, III — średniowiecze, IV — od 1300 r. do 1775 r., V — wiek XIX, VI — wiek XX. Ten ostatni budzi duże kontrowersje. „Historia ludzkości” ma ukazać się kolejno we wszystkich językach.

Występem w Paryżu zakończył tournée po Francji Zespół Pieśni i Tańca ze Stalingradu, wszędzie bardzo gorąco oklaskiwany.

Film

Poza „Przygodami pana Michala”, trzecia seria „Czterech pancernych i psa” oraz „Kolumbami”, projekty następnego serialu filmowych dla telewizji, przewidują: „Przygody pana Andrzeja” („Potop” w 29 odcinkach), „Doktor Ewa” (polski dr Kildare), „Pierwsza miłość” (miłość nastolatków w różnych epokach), „Parada oszustów” (o międzynarodowych aferach kryminalnych).

Aktor łódzki Leon Niemczyk przebywał w NRD na pokazach filmu „Czas życia”, w którym odtwarzał jedną z głównych ról. Za rolę tę otrzymał Nagrodę Państwową NRD drugiej klasy w dziedzinie sztuki i literatury.

ROCZNICA Rewolucji Październikowej. Ilekróć przychodzi, tylekróć nasuwa refleksję o bezprzykładnym w dziejach rozwoju, dokonanym przez jedno państwo w tak krótkim okresie czasu. Pięćdziesiąt dwa lata mieszczą się w życiu jednego człowieka, który rok 1917 przyjął z pełną świadomością...

Zresztą nie wystarczyłyby pokolenia. Sukcesy gospodarki, techniki i nauki tego kraju niemożliwe byłyby do osiągnięcia, gdyby nie rewolucja, to znaczy całkowita zmiana ustroju w stosunku do dawnego państwa carów. Ona to milionom ludzi przyniosła nie tylko warunki do życia, jakie przeciwnie nędzy dawnych państw, ale przede wszystkim awans, polegający na możliwościach pełnienia każdej w tym państwie funkcji w zależności od pracy, talentu i przydatności społecznej.

Rewolucja. Istnieje jeszcze w Polsce pokolenie, w którego świadomości wszczęto przekonanie, że rewolucja to katalizm, który dotknął państwo przez nią objęte. W wyobraźni społecznej malowano obrazy pożogi, głodu, nieopanowanego rozlewu krwi i bezmyślnych okrucieństw. Tym naczelnym przekonaniem nie dołoby się wprowadzić samymi rozprawami o socjalizmie, jak kohort Hitlera nie zatrzymałoby się apelem o nieagresję, ale rewolucja, we właściwym tego słowa znaczeniu, to przede wszystkim zmiana istniejącego stanu rzeczy w sposób, uwzględniający optymalne i dalekosiężne cele. Dlatego rewolucja zarówno służy żołnierz, który kładł fundamenty pod władzę rad i ten, który Kraj Rad ocalił, jak służy geolog wynajdujący nowe pokłady cennego surowca, chemik, wykrywający nowe zastosowania ciał, fizyk, odkrywający nowe prawa rządzące materią.

Nie bez znaczenia w tej sprawie znajduje się fakt, że kiedy we wczesnych latach pięćdziesiątych zawisła nad światem bezpośrednia groźba wojny, właśnie państwo rewolucji wnosilo swój gwałtowny głos za pokojem, za oszczędzeniem ludzkości nowej pożogi, nowego rozlewu krwi.

Nie znaczy to, że groźba ta w czasach dzisiejszych całkowicie zanika. Zmniejszyła się jednak przez wzrost potęgi państwa radzieckiego, które, zdobywszy tajemnicę energii jądrowej, pierwsze wyrzuciło w przestrzeń kosmiczną sztuczny satelitę Ziemi, pierwsze w tę przestrzeń wysłało pojazd z człowiekiem na pokładzie.

Ideę październikową, zainicjowaną przez Lenina, konsekwentnie wprowadzane w czyn przez ludzi radziec-

kich, opanowały zresztą nie tylko ten wielki kraj, który stanowi jedną szóstą świata, ale również wiele krajów Europy środkowej, a także wiele państw tzw. „trzeciego świata”, które wyzwolane spod kolonialnego ucisku w kierunku socjalistycznym wybierają drogę swego rozwoju.

Grzeją ręce ludy uciemiężone jak przy ogniu, przy fadzie czerwonej — pisal polski poeta. Przyszłość ludzkości coraz bardziej jest związana z tym wszystkim, co w zakresie nowych rozwiązań ekonomicznych i społecznych niesie ze sobą socjalizm, który nie przestając być najszlachetniejszą ideą ludzkości, z roku na rok staje się coraz widoczniejszą siłą materialną.

Również kraj nasz potrafił zrzucić z siebie brzemień zacofania, zniżyć bezrobocie, analfabetyzmu, i ograniczonej perspektywy rozwojowej dopiero wtedy, kiedy zwrotnicę swych dzieł przestawił na kierunek wiążący do socjalizmu. Uparte i krótkowzroczne podtrzymywanie orientacji „na Zachód” poskutkowało gruzami spalonych miast, wymordowaniem milionów ludzi w obozach koncentracyjnych. Decyzja historii, która przyniosła nam wyzwolenie ze wschodu, dała naoczną lekcję na temat, która z politycznych orientacji jest dla Polski korzystna i jedynie słuszna.

Więcej nie Polska przestała być przedmiotem targu na politycznym rynku międzynarodowym, a wzrastający potencjał gospodarczy i ideowa konsolidacja społeczna stanowią o naszej niezachwianej pozycji wśród narodów świata. Nie zaliczamy się do produjących. Ale też przekreślona została możliwość, by przez sam ustrój — jak kiedyś — hamowane były te siły i procesy, które są w stanie wesprzeć rozwój naszej ojczyzny.

Więcej nie Polska przestała być przedmiotem targu na politycznym rynku międzynarodowym, a wzrastający potencjał gospodarczy i ideowa konsolidacja społeczna stanowią o naszej niezachwianej pozycji wśród narodów świata. Nie zaliczamy się do produjących. Ale też przekreślona została możliwość, by przez sam ustrój — jak kiedyś — hamowane były te siły i procesy, które są w stanie wesprzeć rozwój naszej ojczyzny.

Po drugiej stronie Bugu

Będziemy systematycznie informować czytelników o tym, co piszą nasi najbliżsi wschodni sąsiedzi, a więc przede wszystkim o zawartości czasopism kulturalno-społecznych z Ukrainy i Białorusi. Lublin i województwo utrzymuje przyjazne kontakty z obwodem Wołyńskim (USRR) i Brzeskim (BSRR). Istnieje ścisła współpraca naukowa pomiędzy Uniwersytetem M. Curie-Skłodowskiej i Uniwersytetem Łwowskim im. I. Franka, redakcja „Kamieny” utrzymuje pewne kontakty z redakcją lwowskiego „Zwonia” i mińskiego „Polymia”. Pragniemy, żeby nasi czytelnicy więcej wiedzieli o życiu kulturalnym, literaturze współczesnej narodów radzieckich, w szczególności naszych najbliższych sąsiadów — Ukraińców i Białorusinów. (Red.).

„POLYMIA” to tytuł białoruskiego miesięcznika artystyczno-literackiego i polityczno-społecznego, wychodzącego w Mińsku od roku 1922. Jest to organ Związku Literatów Białorusi, toteż do kolegium redakcyjnego czasopisma wchodzi przede wszystkim wybitni współcześni pisarze białoruscy (redaktor naczelny: Paweł Kawałou’).

W numerze sierpniowym „Polymia” umieszczono kilka wierszy Starheja Hrachouskiego, w których poeta snuje pewne refleksje z podróży po różnych miejscach ZSRR (np. pobyt w Ulanow-

sku nasunął poecie myśli o Leninie i jego dziele). W dziale prózy literackiej wydrukowano opowiadanie Arkadzia Marcinowicza „Pierwsza miłość” (Pierwsza kachannia), akcja opowiadania toczy się w okresie ostatniej wojny światowej. Z okazji 250-lecia urodzin I. Kottłarskiego A. Kulaszow zamieścił część własnego przekładu na język białoruski „Eneidy” Kottłarskiego, we wstępie pisze o znaczeniu tego poematu również dla rozwoju nowej literatury białoruskiej, równocześnie informuje, że przekład całości tego poematu ukraińskiego na język białoruski ukazuje się wkrótce drukiem w wydawnictwie „Litwary”.

W dziale „Nauka” Wadzim Krutalewicz umieścił artykuł „U źródeł” (La wytokach) traktujący o początkach twórczości Radzieckiej Republiki Białoruskiej w latach 1918-19. Scjapan Aleksandrowicz umieszcza utwórki z podróży naukowej odbytej ostatnio do Polski, Czech i Słowacji w poszukiwaniu materiałów archiwalnych dotyczących dawnych pisarzy i działaczy kultury białoruskiej, podane informacje zainteresują również badacza kultury staropolskiej i stosunków polsko-białoruskich w przeszłości. Ale Kaurus informuje o pracy nad nowym słownikiem współczesnego języka białoruskiego w Instytucie Językoznawstwa Akademii Nauk Białorusi.

W dziale „Krytyka i literaturoznawstwo” zwraca naszą uwagę artykuł Władimira Jurewica o poezji białoruskiej na tematy leninowskie, następnie ocena twórczości współczesnego poety białoruskiego Antona Białewicza (przez A. Zwonaka) i wreszcie ciekawa historia przekładu „Pana Tadeusza” Mickiewicza, dokonanej przez klasyka literatury białoruskiej XIX wieku W. Dunina-Marcinkiewicza, który to przekład nie mógł się ukazać w druku ze względu na wyrażony zakaz ze strony władzy carskiej. Ta ostatnia informacja powinna zainteresować naszych badaczy twórczości Mickiewicza.

„Polymia” drukuje też szereg recenzji najnowszych książek wydanych na Białorusi (literatura piękna i nauka), w dziale tym omówiono również twórczość poety białoruskiego, mieszkającego i tworzącego obecnie w Polsce Aleksa Barskiego („Poeta z Białozoczyzny”).

Wrześniowy numer „Polymia” zawiera wiersze Maksima Tanka i Antona Białewicza o różnej tematyce (Lenin, tradycja, pieśń ludowa, wspomnienia z ostatniej wojny, refleksje filozoficzne), jest

to poezja dojrzała, wyczuwa się w niej często rytm białoruskiej poezji ludowej. W dziale prózy rozpoczęto druk nowej powieści Władimira Karpaua pt. „Sotaja młodość” (Setna młodość) z współczesnego życia ludzi radzieckich. Drukuje się tu również opowiadanie Iwana Czychrynaua t. „Zdarzenie we wsi Kapranauka”) dotyczące udziału w wojnie domowej na Białorusi w roku 1920 bezimiennych bohaterów.

Bogaty jest dział „Publicystyka”. Wydrukowano tu artykuły o treści polityczno-społecznej: „Inteligencja twórcza i współczesna walka ideologiczna”, o światowej nadsiedzi partii komunistycznej i robotniczych w Moskwie, o związkach politycznych białorusko-bułgarskich i historii bułgarskiego ruchu rewolucyjnego. Numer przynosi również dane o aktualnym stanie nauki białoruskiej. Znalazła Małezka w artykule „Śpiewacy i pieśni” podaje pewne ciekawe obserwacje własne nad repertorium pieśni w współczesnej wsi białoruskiej (rodzą pieśni śpiewanych wciąż się bardzo często z wiekiem i płcią).

Mikolaj Archwa opisuje tzw. „proces stu trzydziestu trzech” w Białymostku w czerwcu 1928 roku (sądzeni tam byli m. in. komuniści białoruscy, polscy i in.). Iwan Siankiewicz opisuje w swoich wspomnieniach zdarzenia z lat 190-14, kiedy działał jako partyzant na terenie Białorusi i północno-wschodniej Polski.

W dziale „Krytyka i literaturoznawstwo” znajdujemy interesujący artykuł Pawła Dziubajły o współczesnej prozie białoruskiej. A. Anuszkina pisze o nieznanych dotychczas wydaniu książki Hienasza Rudnego „Apogemat”, w drukowanej w Wilnie 1939 r. Interesująca historia tej książki zaczęła niewątpliwie naszych bibliografów.

Kronika przynosi szereg informacji z życia kulturalnego Białorusi, w tym również informacje o obchodach 25-lecia Polski Ludowej w BSR i udziałem delegacji polskiej, o pisarzach białoruskich z grupy „Białowieża” w Polsce, o polskich tłumaczeniach poezji białoruskiej umieszczonych w „Argumentach” i „Poezji”. Omówione pokrótce numery białoruskiego „Polymia” mogą zainteresować również czytelnika polskiego chociażby ze względu na liczne materiały dotyczące związków polsko-białoruskich w przeszłości i obecnie.

M. L.

* Zachowujemy białoruską transkrypcję imion i nazwisk.



Rosanna Schiaffino to jedna z czterech — obok Loren, Cardinale i Lolobridy — najpopularniejszych aktorek filmu włoskiego. W takim stroju — sama narwała go „sukniopieruka” — wystąpi w roli słynnej Lady Godiva w filmie, który będzie nosił tytuł „Check to the Queen” (Pocelunek dla królowej).

Rozstrzygnięcie konkursu „Ziemia Kraśnicka w amatorskiej twórczości artystycznej”

Niedawno rozstrzygnięto I konkurs „Ziemia Kraśnicka w amatorskiej twórczości artystycznej”, zorganizowany z okazji 600-lecia Kraśnika przez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Kraśnickiej i Wydział Kultury Prezydium PRN. Konkurs trwał od października ub. roku do końca sierpnia 1969 r. i miał na celu popieranie rodzimej twórczości amatorskiej w dziedzinie plastyki, fotografii, literatury oraz szerokie propagowanie historii i urody miasta i regionu. A oto wyniki konkursu:

Nagrodzono wszystkich 6 uczestników konkursu w dziedzinie garncarstwa: Czesława Ambrozkiewicza, Wojciecha Ambrozkiewicza, Jana Gajewskiego, Teofila Gajewskiego, Jerzego Witka i Pawła Witka. Tadeusz Żyko otrzymał nagrodę za prace z kowalstwa artystycznego. Nagrodzono wycinanki Alicji Michałowskiej, nawiązujące do tradycyjnej stylizacji wycinanki kraśnickiej. Władysław Muszyński otrzymał nagrodę za zestaw fotografii. Na konkurs literacki nadesłano 33 prace poetyckie i 1 prozatorską, z czego 6 kwalifikowało się do nagród i wyróżnień: I nagrodę przyznano Andrzejowi Cibie za wiersz „Ziemia Kraśnicka!”, II nagrodę — Alicji Michałowskiej za wiersz „Kraśnik”, III nagrodę — Stanisławowi Pomorskiemu za wiersz „Kwiaty kraśnickie”;

wyróżnienia przyznano Andrzejowi Cibie (za wiersz „Pokoje się słodzą”), Alicji Michałowskiej (za wiersz „Ludzi”) i Marcie Śladnickiej-Szumera (za wiersz „Moje miniaturki”). Część prac plastycznych i fotograficznych nagrodzonych autorów pokazano na wystawie w Powiatowym Domu Kultury w Kraśniku w czasie trwania Powiatowego Sejmiku Kultury (piszemy o nim na str. 12). Wszyscy uczestnicy konkursu otrzymali specjalne dyplomy. W skład komisji konkursowej wchodziły następujące osoby: Jan Stelmach (przewodniczący), Konrad Bielecki, Sabina Dados, Krystyna Grządka, Kazimierz Gustyn, Józef Kowalik, Feliks Ryzek, Barbara Parobczak, Helena Załuska. (K)

POEZJA RADZIECKA

w nowych przekładach
Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

Leonid Martynow

Wędrując poprzez moją ziemię
Całkiem niewiele tutaj chcę mieć:

Pragnę posiadać taką duszę,
By zniszczyć wszystko, co rozkruszę.

Pragnę posiadać taką wolę,
By żyło wszystko, na co zwołam.

Pragnę, by zawsze serce moje
Budziło w ludziach niepokoję.

Pragnę posiadać takie oko
Jak prorok — oko mieć proroka.

Oto chcę tego, chcę głęboko.

Pani zbladła. Jam łazik, cały zbrązowiła.
Nawet spotkać się teraz nam będzie niemiłe.
Tylko czułość, co kiedyś tu się zapodziała,
Zmusza mię, bym powrócił jeszcze raz na chwilę.

Bez pozdrowienia wejść i krzyknąć: — No, wściecie!
Stróż śpi i drzwi otwarte. Coś tu się popsulo!
Niech pani się nie boi! Ja nie grozę przecież,
Tylko proszę mi jednak zwrócić dawną czułość!

Pod dachem ją ukryję, gdzie wejść po cichu
Tam gdzie mysz zamieszkała w dziurawym szybyście.
Ja dawną czułość schowam w ciemność na strychu,
Aby jej nie znalazły bez opieki dzieci.

Lew Ozierow

Wiśniowy sad bieleje pełen kraszy.
Wiśniowy sad. A inne są już czasy.
Wiśniowy sad. Gdzie pamięć o człowieku?
Topora stuk. Pół tylko przeszło wieku,
A wiek nie ten. I leci po orbicie
W gwiaździsty wył dzieciętko ziemi naszej.
Patrzcie, jak mknie! Jak krąży! I nie śpijcie!
Wiśniowy sad bieleje pełen kraszy.

Eugeniusz Winokurow

Moimi oczami

Umrę cały naprawdę, umrę bezpowrotnie.
Umrę na serio.
Nie zamienię się w trawę, w kwiaty ani w żuczka.
Nic ze mnie nie zostanie...
Nie będę brał udziału
W kolowrocie przyrody.
Po co się ludzić.
Proch, co po mnie zostanie, mną już nie będzie.
Kłamią wszyscy poeci! Trzeba być bezlitosnym.
„Nic” — oto co będzie leżało
Pod pagórkami na Wagańkowskim cmentarzu.
Ty przyjdiesz, oprzesz się o parasolkę,
Postoisz nad pagórkami,
Pod którym „Nic” spoczywa, potem izę obetrzesz...
Ale chłopiec, co mój wiersz przeczyta,
Na świat spojrzysz moimi oczami.

Andrzej Wozniesieński

„Umierajcie w odpowiednim czasie.
Pamiętajcie o reklamencie”.

Kruki,
Nade mną drą się wciąż zawzięcie.

Chodzi jak poźniawisko,
Trzeźwy, jaki nigdy nie był,
Jestem, co się nie powiesił,
Z białymi oczyma.

Obiecuję w odpowiednim czasie
prawo zadośćuczynić —
Niech tylko tysiąc lat
upłynie!

Matki sierociej,
Dzieci je porzucają.

Tyś moim dzieckiem,
mamo,
porzuconym dzieckiem.

Georgij Sannikow

W odpowiedzi Omarowi Khaymowi

Mówił Khayam chmiel już czując:

Dni idących nie przyzywa,
Dni minionych nie żałując
Dniem dzisiejszym żyj szczęśliwym.

Ale ja zakładam sprzeciw:
W naszym życiu zawsze, wszędzie
Dzień dzisiejszy pięknie świeci
Słońcem dnia, co jutro będzie.

Włodzimierz Sołouchin

Nie kryjcie się przed deszczem

Nie kryjcie się przed deszczem! A cóż to koszula
Cenniejsza dla was od świętości ziemi?
W koszuli was pogrzebią. Dość się należyście.
Lecz tak olśniewających i chłodnych potoków,
Które leją się z nieba (z nieba!),
Strug przeźroczystych, które kruszą w sobie słońce
I z trawy kurz zmywają
I liście
Dokoła splukują
Nie będzie dane wam zobaczyć.

Na deszcz się patrzeć? A cóż to za brednie!
Sto razy-m widział morze na obrazach
I za grosz w tym nie było sensu.
Gdzie zapach morza?
Gdzie aksamitna pieszczotliwość jego?
I gdzie jego potęga, gdy falę przyboju,
Drżącej siności stutysięczne tony
Podźwignie ono w górę jak na dioniach
I niesie ją,
Na brzeg wyrzuca
I wali z nóg i w pianie grzebie.
A sól gdzie jego?

Tak więc precz z obrazami!
Precz
Z patrzaniem się na deszcz przez okno
Żyć trzeba wszystkim.
Oczami żyć to zbyt ubogo.
Żyć trzeba skórą, ustami żyć i każdym nerwem,
Komórką każdą, póki jeszcze żyje,
Póki jest zdolna czuć wilgotność morza.

Żyć trzeba wszystkim.
Już deszcz mi nie wystarcza.
Do sadu biegnę i cieniutki drzewa
Jarzębinowe
I wiśniowe,
Kwitnący bez
Otrząsam, deszcz wzmagając i spryskując siebie.
Lecz i drzew mi nie dosyć!
Pulsując sprężyste
To do wiadra lejąca się dźwięcznie,
To wiatrem przynoszona zlewa
Na głowę mi się wali i na plecy.
Jeszcze wody, jeszcze!
Zalewa mi włosy,
Oczy i nos i usta,
Oczy i nos i usta...
Ale skroś zlewę jednak chwytam,
Wdycham najgłębiej, ile mogę
Deszczem splukany, brem pachnący
I trochę zarzewiałą blachą
(Bo przecież strugi jednak padają i z dachu)
Potężny
Łyk ziemskiego powietrza.

Iwan Dracz (Ukr.)

Oskoma

(II cz. „Dyptyku o spokoju”)

Deszcz monotony, senny pada,
Stoicki, mądry i sędziwy,
Serce wędrówki już znudziły,
Więc śpij, goryczą nie napawaj.

Śpij już w mocarstwach swoich świerszcze
I złote smyczki we śnie susz.
Jak szable w pochwach śpij nareszcie
I śpij ma ciężka rdzawa dusza,
Pączki tak płoną fosforycznie.
Spokoju mój! Katastroficzenie
Czuję się w tobie — poleż jednak
Tu obok bosych moich nóg,
Bez granic mój spokoju, bez dna,
Bezgrzeszny i stąd — grzechu mój!...

Nad dolą się zamartwia deszcz
I okrucieństwo ciszy boli...
Z iluz to szorstkich trumna desek,
Spokoju mój, cię uspokoi?!

Witaliusz Korotycz
(Ukr.)

Prąd

O tym pisano.
To było.
A jednak nie potrafię.
Rad jestem, że wzdłuż Desny kładę ślad daleki,
I znowu myśli moje trapi
Zielona obojętność rzeki.
Przez oczy w myśli me wstępuje
Spokojna pewność przyrody
I jasna jej celowość.
...Desna do Dniestru toczy zielone swe wody.

Maksym Tank (Białor.)

Rozpaliliśmy ogień, by się ogrzać,
a ten liże palące chrustu,
które to dymem,
to trzaskaniem
opowieść mi snują o sobie.

Jeden sęk
był tronem dla głuszcza,
drugi
był gniazdem słowika,
a trzeci —
huśtawką wiewiórki.
A korzeń
był nogą olchy,
drugi —
trzewiczkiem brzozy,
a trzeci —
jodły posochem.

Jeden pień
obalila burza,
drugi —
powykrzywił pociąg,
a trzeci —
skaleczyli ludzie.
Śpij już moi druhowie,
a ja długo
będę się jeszcze wsłuchiwać,
póki nie dotlą się głowienki,
a z nimi —
i gwiazdy,
i pamięć,
i pasma mgły nocnej
nie staną się popiołem świtu.

Rosną na ziemi rodzinnej
drzewa olbrzymie.
A każde drzewo
ma tysiące szumiących gałęzi,
każda gałązka —
zielony promień,
każdy promień
to tysiące dźwięcznych ligawek.
Z każdej ligawki,
gdy się na niej zagra,
wylatują skowronki
lub czajki czy słowików roje.
Nie wyrębuje drzew tych śpiewnych,
jeśli kochacie pieśni swoje!

Geworg Emin (Orm.)

Kto jest silniejszy od człowieka
I kto jest słabszy od człowieka?
Oto pytanie.

Człowiek już wyszedł spoza ziemskich granic
I groźny atom rozbił na cząsteczki.
A sam pozostał wciąż kruchym naczyniem,
Tę samą czarą delikatną,
Krwia jednakowo przeźroczystą,
Pulsującą w naczyniach.

Człowiek skały olbrzymie kruszy,
A tymczasem od marnej kuli
Pada bez duszy
Martwy.
Od niewidzialnej kuli,
Od surowego słowa,
Od okrutnego żartu.

Kto jest silniejszy od człowieka
I kto jest słabszy od człowieka?
Jest czarą delikatną,
Przeźroczystym i kruchym naczyniem,
Ale za to on bogów
Na sąd wozywa.
Powstaje przeciw bogom
I przeciw wrogom,
Przeciw sztyletom
I przeciw bagnatom,
Przeciw wszystkim, co mu przeszkadza
Pokonać wszechświat
I z ponurej pieczary
Wzniesić się w podniebne wyże
I iść po szczęście
Przez cierpienia bezmiar.

Michał Kwiliwдзе
(Gruz.)

Poezja

Pan się zajmował rybołówstwem?
Trud to niewielki dla człowieka:
wędkę zarzucał w toń pod mostem,
siedział,
spodziewał się
i czekał.

Z pisaniem wierszy jest tak samo,
tu też na trud się nie narzeka:
z piórem nad kartką śliczysz białą,
siedział,
spodziewał się
i czekał.

DRUGA godzina po północy, gigantyczny wyciek w sali Rady Białgorodzkiej. Sejsk, zaduch. Co chwila loskot braw lub krzyki i gwizdy. Na podwyższeniu wdzierają się kolejni mównicy. Na wieść o drugiej rewolucji w Piotrogrodzie, Rada Pułku, Rada Miasta, wszyscy żołnierze dwudziestotysięcznej jednostki ścigają do sali, gromadzą się wokół gmachu, przewalają ulicami miasta.

Piotrowi dopisało szczęście. Udało mu się wciągnąć do środka, a napierający tłum wepchnął go do połowy sali. Wzajemne przepychanie, polskie przekleństwa mieszają się z rosyjskimi. Ktoś miedze. Ponad głowami podają go ku wyjściu. Każdy chce słyszeć, widzieć, wiedzieć.

Oto kolejny mówca. Rosjanin, polskie słowa miesza z rosyjskimi, ale przemawia gładko. Ten pieje o dziejowej konieczności politycznego frontu rewolucji. Eserowiec. Wrzask i wyrzeka. Spada z podwyższenia, ściągnięty przez dziesiątki niecierpliwych dłoni. Potem zlatuje mieniszewik. Białgorodzki robotniczy z ewakuowanej fabryki „Gerlacha” marsz Kiereńskiego na Piotrogrod nazywa buntem, zdradą, zbrodnią. Do staje brawa. Schodzi zmęczony, szczęśliwy.

Jakiś schludnie ubrany starszy w płynnych okesach przywołuje wizję dalekiej, umęczonej ojczyzny, która czeka na swych obrońców rozrzuconych po niezliczonych obszarach Rosji. Spada.

Wchodzi bolszewik Meranville de Saint Claire. Ocenia poprzednie wystąpienia z adwokacką swadą i logiką. Rzuca pytanie tej nocy, pytanie ostatnie i jedyne: czy Białgorod pójdzie na pomoc Moskwie? Grzmot aprobaty.

Swita. Trzeba kończyć, jeśli nie chcą podusić się w sali do cna ogołoconej z tlenu, jeśli nie chcą tracić czasu, gdy w Moskwie płonie rewolucja.

Oddział ochotniczy liczący stu dwudziestu ludzi znalazł się na dworcu kurskim w południe. Był czwartek, 15 listopada. Jechali tu z zapewnieniem, że na dworcu powita ich delegat moskiewskiej RDRIŻ. On miał ich poprowadzić na wskazany odcinek walki. Tymczasem dworzec powitał ich kłębem nieprzytomnej masy uciekinierów, którzy z nową zajadłością rzucili się ku pociągowi, w przekonaniu, że odjedźda właśnie na prowincję. Gdzieś w głębi miasta wrzały walki. W jazgot karabinów maszynowych wkraczały gniewne pomruki armatnich pocisków.

Oczekiwanie na delegata przedłużało się. Dla pewności stanęli w zwartym szeregu przy samym wyjściu z dworca.

Przed czołem oddziału zajęto samochód pancerny oblepiony robotnikami i żołnierzami.

— Kto wy? — wrzasnął kierowca, szukając wzrokiem dowódcy oddziału. Jego oczy były złe, przekrwione z niewyspania. Twarz pokrywał wielodniowy zarost.

— Skąd jesteście?
— Polacy z Białgorodu.
— Biali czy czerwoni?
— Czerwoni, do diabła czerwoni! — odkrzyknął Pakula, bo dostrzegł, że czarny pyszczyk kulomiotu z wolna odwraca się ku szeregowi. Dziesiątki gardel:
— Co mamy robić, gadajcie! Przyjechałiśmy walczyć. Miał czekać na nas przewodnik...

Stalowe pudło zarechotało:
— Jaki przewodnik, sieroto carska! Przyjechałiście na wycieczkę? Jazda do miasta. Na Kremł, albo do twierdzy butyrskiej. Tam już was przywita cała banda białych przewodników. Trzymajcie się!

Odjechali pozostawiając ich własnemu losowi.

Oddział ruszył przed siebie. W miarę zbliżania się do centrum, ulice Moskwy pustoszały coraz bardziej. Coraz dotkliwsze też

nosiły ślady niedawnych zmagania. Wiele domów pokryła gęsta mozaika blizn po kulach. Wokół niektórych okien owe piegi gestniały, odsłaniając świeżo czerwień cegieł i nagie kamienie. Tam właśnie wykurzano samotne karabiny maszynowe lub mocniej broniące się grupki przeciwnika.

W połowie drogi rozdzielili się. Jedna grupa ruszyła na Kremł, druga ku więzieniu. W tej ostatniej posuwał się Piotr.

Skręcili w Sadową. Potem zmierzwiłną ulicą Sucharewa, mijając kilka martwych barykad z przewróconych tramwajów i wszystkiego, co było w mieszczańskim mieszkaniu, dotarli do butyrskiego więzienia. Twierdza przeżywała właśnie ostatnie chwile swej ponurej przeszłości. Straż i osaczony w niej oddział junkrów już wywiesili białą flagę. Wyraźnie powiewała nad główną bramą, lecz jeszcze przez dobry kwadrans trwało ostrożne obmacywanie murów seriami kaemów.

Brama otwarła się, odsłaniając pustą przestrzeń dziedzińca. Gdy wpadli do środ-

Grupa Piotra początkowo zapada we wnetrach witra, wrócić jednak dostaje się do pokierosowanych murów cerkwi Wasyla Błogosławionego. Przed sobą mają teraz bramę Spasską, bramę Nikolską, systematycznie kruszona ogniem działek, za chwilę ustąpi. Pozostanie wówczas ostatni wysłek — skok przez plac, przez morderczo pustą lysiną bruku iskrzącego się od rykoszetów.

Już idą, Grupkami, pochyleni ku zwałowej ziemi. W pedzie utrudniającym przeciwnikowi dokładne celowanie. Junkrzy bronią się na całej długości muru. Kulomioty ujadają w jednym przeciągłym grzmocie.

W połowie drogi żniwo śmierci gestnieje, gestnieje L. urywa się. Oto już zbawca ściana. Brama roi się od nacierających. Teraz junkrzy nie mają wyboru. Muszą wycofać się do Arsenalu i kompleksu pałacowego.

Oslone daje nacierającym Pałac Senatu. Potem milkiem gmach szpitala i teatr. Cichną też perły architektury kremłowskiej: Cerkiew Dwunastu Apostołów, Dzwonnica, So-

— Marzy z ciebie wojak — podjadza. — Nie takie rzeczy widziałem w tym ostatnim dniu, mój synu — pociąga tylnik. — Nie takie rzeczy zobaczysz — dobiega z rezygnacją i już więcej nie naleza.

Wreszcie przychodzi rozkaz zajmowania Kremla. Junkrzy mają na sumieniu straszną dzieki mord na żołnierzach 55 i 56 pułku piechoty. Proszą o eskortę i wychodzą dopiero pod osłoną silnego kordonu. Napiera na nich tłum cywilów, marynarzy i żołnierzy, zmarniętych, wycierpanych całą dną walk, porażonych widokiem monstrualnego stosu ciał kolegów pomordowanych pod murem Arsenalu. Niektórzy rwą się do wymierzania sprawiedliwości. Szpaler eskorty chwyleje się. Twarze dzikie, gotowe na wszystko. Twarze wykrzywione z nienawiści. Twarze proste, mocne i wolne od skrupułów.

Piotra już nie interesuje los junkrów. Senka pożywienia, marzy o szklance alkohola. Wie, że byłby to jedyny sposób powstrzymania postępów choroby.

Znalazł je wreszcie, wydobyte z prowiantowych sypialni junkrów w Pałacu Mikołajewskim. Od podchmieleonego gwardzisty wyprosił kilka tyków koniaku, po czym zbierał się bogactwem zapasów nagromadzonych przez junkrów: kiełbas, serów, chleba, masła, konserw. Zabezpieczył się na długo. Wśród takich zapasów, na stosach łańcucha i amunicji, mogli wytrzymać półroczne oblężenie.

A tam już dziedzińiec kremłowski i sale pałaców zapelnily się żołnierzami i mieszkającymi Moskwą. Nieosiągalne dla ludu przez wieki, otwierały się przed nimi bez oporu, na podziw i zdumienie zwycięzców.

Piotr także ruszył na zwiedzanie. Pusty żołdek odpowiadał na alkohol falami przyjemnego ciepła. Z kawalkiem kiełbasy w garści wszedł do głównego pałacu. Siedząc carów rozbrzmiewała u wejścia zmieszany gwarem, twardym chrobotem żołnierskich butów, ustokrotnionym przez echa sal. Zagłębiał się w ich przepych z nabożnym skupieniem. Gdzie jeszcze nie docierały głosy zwycięzców, rozpocierała się cisza tak niepodzielna, że słyszał nawet swój przyspieszony oddech.

Kroczył przez sale, pokoje i korytarze zaskakujące go coraz innymi kształtami, kolumnami, drogimi obiciami, freskami, portretami, piramidami wymyślnych żyrandoli, kompletami broni myśliwskiej, kinkietami i marmurowymi konsolami o kapryśnych kształtach.

Wtem zdało mu się, że ktoś śledzi go z ukrycia. Odwrócił się jednym rzutem ciała i zderzył z własnym odbiciem w boczny lustrze. Nie poznał swojej twarzy. Na tle tego przepychu, wśród nieskazitelnych kształtów i form tego raju, w środku przeduczonych sprzętów, złocen i luster o nieubłaganej wierności jego zapadnięte policzki, zabłoczone buclory z harmonijkami cholew klóciły się z otoczeniem tak ostro, że naraz wszystko wydało mu się dziwnym smem.

Spożyty alkohol buszował w trzewiach coraz gwałtowniej. W głowie szumiało. Jeszcze przewalały się w niej echa niedawnych walk, w głowach, rozkazów, jeszcze pulsowały w niej wspomnienia twarzy napiętnowanych strachem, nienawiścią czy krzykiem, i krzyżowały się ze zniewalającą ciszą tego majestatu.

Wnętrze pałacu, głównie okolice okien i ściany naprzeciw nich, nosily liczne i dotkliwie ślady przeżytych walk. Wybite szyby i dziury po armatnich pociskach sprawily wrażenie bolesnych ran. W sali portretowej spojrzala na niego cala galeria Romanowych. Spomiędzy złoconych ram i szczerb na ścianach patrzyli na intruza z podbitego kraju z surowym wyrzutem, dumą i spokojem gromadnym przez wieki. Uświadomił sobie, że patrzyliby na niego podobnym wzrokiem do kofca, gdyby nawet ciał w strzepy i ściemniale płótna i deptał je w bezsilnej nienawiści...

Fragment powieści „Bunt” nagrodzonej na konkursie „Polska — ZSRR” w Katowicach

Na pomoc Moskwie

Henryk Pajak

ka, z cel, przez wybite drzwi wylewali się więźniowie. Wyciągały się chciwie dłonie do karabinów, krzyżowały usta zadławione radością. Leciali w górę nędzne łachmany i więziennye mycki.

A obok rozprawiano się z najbardziej znienawidzonymi wartownikami. Kolbami, buciorem, czym popadło. Do ostatniego tchnienia, do ostatniego dreszczu bezkształtnej masy. Bez litości nie znanej tym murom.

Potem rozpoczęły się wściekle galopady wśród służbowych pokoi załogi. Szukali znienawidzonego komendanta, ale zniknął doszczętnie.

— Na Kremł! Na Kremł! Junkrzy mordują naszych!

Na ten okrzyk znów zawrzało. W bramie więziennej tłok. Przechodzą się ku wyjściu uratowani więźniowie, cisną się za nimi ich wybawcy.

I zaraz u wylotu ulicy osadza ich seria kulomiotu. Tnie niezmordowanie, kule koszą też z flanki, słane z mieszczańskich okien.

Więc do celu przedzierali się już tylko grupkami. Pod stopami zimno zgrzytały odłamki szyb i karabinowe łuski. Oczodoły okien odprowadzały ich ze ślepa, wybiegłą obojętnością. Piotr razem z kilkunastoma białgorodzycami oraz czterej marynarze tworzyli teraz nowy oddział, usiłujący na własną rękę dotrzeć do siedziby carów.

Na Gruzińskiej strzaly. Kudryńska utkana od zdradzieckich karabinów maszynowych, bijący nagle, podstępnie. Jeszcze razem i jeszcze bez strat rwali z Preczystieńskiej i jej placu na most. Ale tu znów silny ogień białych. Trzeba omijać. Aż wreszcie Kremłowska, już całkiem opanowaną przez swoich, dotarli do celu.

Dysponując nieprzebranym zapasem amunicji i karabinów, junkrzy nieprzerwanym gradem kul omiatali bruki placu. Ze Wzgórz Worobiewych pracownie uwija się artyleria. Pociski wybuchają za murami twierdzy, lecz rozstrzygnięcie musi przyjść od placu i ulicy Nikolskiej.

bór Uspieński i Sobór Archangielski. Junkrzy i kadeki trzymają się jeszcze w Arsenalu i załamkach pałacu głównego. Jeszcze przez chwilę, jakby w agonii, odgrza się ogniem flankowym jakiś budynek, lecz i on cichnie.

Dopiero o północy, na podstawie porozumienia WRK i Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, zwycięzcy otrzymują polecenie zaprzestania wszelkiej wymiany ognia.

Trzeba czekać do rana. Piotr i jego kolega Stach Łoboda, oraz stary robotniczy moskiewski przycupnęli na lodowatej posadzce Pałacu Senatu. Piotr trzęsie się z zimna. Przedzierając się ulicami miasta wpadł do okopu wypelnionego wodą i przemoczył nogi. Gdy minęły emocje walki, ostry ziąb przypomniał mu o tym zdarzeniu.

Zaczynają się zastanawiać nad możliwością przejścia do gmachu teatru, aby tam doczekać ostatecznej kapitulacji junkrów. Żeby Piotra szcękają z szybkością kulomiotu. Robotnik, choć jest bez szynela, trzyma się z nich najlepiej.

A z Piotrem jest coraz gorzej. Czuje przyspieszone tętno, narastające osłabienie. Przez zmęczone ciało galopują fale dreszczów. To zapowiedź gorączki. Wcisła się pomiędzy kolegów, lecz to pomaga niewiele.

Robotnik radzi — wskazując bramę i przestrzeń dziedzińca.

— Widzisz go? Zabierz mu buty i zmień spodnie.

— Komu? — dziwi się Piotr, bo nie widzi tam nikogo.

— A temu tam. Już mu niepotrzebne. Nie widzisz?

Tak, dopiero teraz widzi, kogo to poleca robotniczy. Za bramą leży ciało junkra, ledwo widoczne w rzedniejącym mroku.

Jedyną odpowiedzią jest przeczący ruch głowy.

Łoboda przygląda się uważnie koledze i popiera propozycję tamtego.

— Weź przynajmniej buty. Nieboszczyka się boisz. Doktorem jesteś. Coś ty robił na froncie?

— Nie chcę!

Notes z podróży do NRD

Dokończenie ze str. 1

na których lata w „Pokoju” Trygajos, dosiadający swojego żuka, Oberon i Puk w „Śnie nocy letniej”, kostium Muzy w „Opowieściach Hoffmana”, działają zapadnie, rozbudowany jest aparat oświetleniowy — w Komische Oper prowadzi aktorów reflektorami punktowymi sześciu elektryków na raz. Są to wszystko środki teatralne ogromnie ograne i tradycyjne, archaiczne w kontekście najnowszych scen arenowych lub „transformable”, ale trzeba przyznać, że operowanie nimi w konwencjonalnych przedstawieniach daje często interesujące efekty. Do starych maszynierów do rzuca się i nową technikę. W Komische Oper w jednym z przedstawień („Der Doppelgänger”) wyświetlano film na cztery ekrany, z czterech projektorów, dających cztery różne obrazy; również w Komische Oper (w „Śnie nocy letniej”) użyto sześciu rzutników z obrazami nierzuchomy, wyświetlanymi na horyzoncie, kulisach i ramie sceny, a w „Opowieściach Hoffmana” film rzucający na podłogę dał obraz falującej wody. Wszystkich tych efek-

tów używano w celach iluzyjnych, opisowych.

„Pokój” został przełożony i zaadaptowany przez Peter Hacksa. Zawierał sporo aktualnych aluzji i nieco, zgodnie z tekstem Arystofanesa, nieprzyzwoitych wyrazów. Natomiast poważnie i wzruszająco zabrzmiała w tym zbombardowanym nie tak dawno budynku, stojącym w samym sercu ogniska niedawnej wojny, śpiewana przez Chór, uaktualniona, pieśń o pokoju.

30 września, godz. 23.

Japoński Teatr No na scenie Berliner Ensemble. I tym razem nie tylko stary tekst, ale i formuła teatralna całkowicie muzealna, nieznacznie tylko zmodyfikowana malejącą doskonałością wykonawców, wszystko sprzed 600 lat. Na białym horyzoncie Berliner Ensemble ustawiona platforma i trzy prowadzące na nie podesty, jakimi postępuje się zawsze No, z tym, że w japońskich teatrach pomosty te otacza publiczność — tu cała konstrukcja terenu gry była wyizolowana, oddzielona od widowni ramą sceny. Paruosobowy zespół w cudownie kolorowych kostiumach, w wielkości w maskach, wykonywał hieratyczne gesty, których najdrobniejszy szczegół ma dla wjaźnienicz-

nych treść opisową i symboliczną, a dla laików jest hermetycznie zamknięty. Aktorzy poruszali się jak kukły, krokiem mierzonym, innym dla każdej postaci — z pięty, z palców, całą stopą, skoczenie i posuwanie. Zastępowali na cale minuty w niewygodnych pozach. Śpiewali i śpiew paruosobowego chóru, wspomaganego głosem paru instrumentów, brzmiał zza kulis — była to zapewne narracja, także niezrozumiała... opowiadająca o niezrozumiałej akcji scenicznej...

W sumie przedstawienie ogromnie ciekawe, ale egzotyczne, obce. Nie nawiązało się między sceną i widownią żaden kontakt. Nie zadziała napięcia nie wspólnoty. Wszyscy siedzieli martwi i zapatrzeni. Trochę jak na filmie etnograficznym.

1 października, godz. 19.

Komische Oper. Cudowne, feeryczne przedstawienie „Snu nocy letniej”, opery Benjamin Brittena, wedle Szekspira. Spektakl grany od 1961 roku z niesłabnącym powodzeniem. Chyba najpiękniejsze przedstawienie, jakie oglądałem w Berlinie.

Zrealizował je sam wielki Walter Felsenstein. Od roku 1947, kiedy powstała Komische Oper, jest on jej mistrzem, autorem — w sensie teatralnym — najwspanialszych przedstawień. Felsenstein uchodzi

obecnie, bezspornie słuszną, za najwybitniejszego inscenizatora operowego na świecie. Trudno, zwłaszcza krótko, opisać jego widowisko, których miałem szczęście oglądać aż trzy. Styl Felsensteina w swej prostej esencji polega na stopieniu w jedną jakość elementów muzyki, śpiewu, gry aktorskiej, tańca, inscenizacji. W jego przedstawieniach nie występują śpiewacy, którzy są lepszymi lub gorszymi aktorami w operze i operetce. W jego przedstawieniach występują aktorzy, którzy są śpiewakami, tancerzami, akrobatami, mimami. Dekoracje nie stanowią tła. Chór nie statystuje. Wszyscy grają. Wszystkie elementy spektaklu budują teatr. Tyle, że jest to teatr muzyczny. Zresztą jako teatr, jest on w swej stylistyce i mechanice dość tradycyjny. Jako opera — jest rewelacyjnie nowoczesny.

„Sen nocy letniej” ma w Niemczech dobrą i dawną tradycję. Tak pisał Julius Bab o „Śnie nocy letniej” zrealizowanym w 1904 roku przez Reinhardta: *Na plastycznie wykonanych brzoźowych pniach migotało światło księżycowe, niepostrzeżenie pojawiały się w nim role ruszał, chochliki wyrastały z drzew i kamieni. W noc poślubną Tytania i Oberona scena wraz z całym orszakiem postaci zaczynała się obracać — sceniczne nowatorstwo sceny obrotowej doczekało się po raz pierwszy demonstracji.* Przepuszczam, że przedstawienie operowe „Snu” Felsensteina nie różniło się od tamtego wiele w sensie efektu teatralnego, działania na zafascynowaną widownię, nastroju i ogólnej tonacji. Widowisko toczyło się w bajkowej scenerii fantastycznych drzew, zaroił, kwiatów i grzybów, rozpiętych na przeźroczy-

stych kulisach i wyobratanych przez zespół baletu dziecięcego, oraz rzutowanych na scenę z projektorów. Oberon często postugiwał się latającym w powietrzu lożem, Puk wspinał się na ogromne pajęczyny. Tytania drzemala w huśtawce i trzcini i listwami. Fermy i kulisy byly w nieustannym ruchu, wywołując wrażenie błędzenia zakochanych par po zaccarowanym lesie. Teatr nastrojowy, iluzyjny, tajemniczy, otaczający i wciągający widza w gąszcz swoich efektów. Teatr ogromnie „teatralny”. Ale fascynujący.

2 października. Rano.

Zwiedzamy muzeum Pergamon. Sztuka Azji Mniejszej, północnej Afryki. Cudowne zabytki starożytności sztuki, które niemieccy odkrywcy i kupcy wzrosli przy lata do Berlina. Rzeźby, fragmenty budowli, ceramika. Słynne 23-stopniowe schody ołtarza pergamońskiego.

2 października. Po południu.

Zwiedzamy wystawę teatralną z okazji XX-lecia NRD. Wystawa zaainstalowana jest w salach Akademii Sztuk Pięknych. Duże wrażenie robią fotografie znanych gnańców teatralnych, do których dojdziemy wieczorami — na te fotografie ruin tych samych gmachów z 1945 roku. Są dokumenty pracy teatrów berlińskich i terenowych opery, dramatu, scen lalkowych. Dużo makiet. Trochę kostiumów. Trochę wykresów i map. Obrazują cych gęstą sieć teatralną NRD z 54 czynnymi teatrami. Masa fotografii. Sporo afiszy i plakatów. Jak na każdej wystawie teatralnej.

I jak każda wystawa teatralna, ta również jest przynębiająca w swojej pustce, w swoim oddaleniu

Taki był zawsze

Dokończenie ze str. 1

wolę moralna dziecka domaga się bezwzględności i natychmiastowego usunięcia zła gdziekolwiek zostało odczuć lub dostrzeżone. W miarę dorastania, nabywania wiedzy i doświadczenia życiowego, w miarę nabywania rozumu i poczucia zdrowego rozsądku, wrażliwość moralna człowieka ulega relatywizacji, siłę jego głosu zwykle ograniczają owe nabyte doświadczenia życiowe, rozum i zdrowy rozsądek, przysparzając niejednokrotnie odruch wrażliwości moralnej pseudofilozoficznymi uwagami typu „takie jest życie”, „coś na to może jednostka”, „był wiele trzeba by zmienić, aby ten szczegółowy przejaw zła usunąć”.

Inaczej rzecz się przedstawia z jednostkami wyzrastającymi ponad moralną przeciętność. Ich życiowe doświadczenie i życiowa mądrość, ich zdrowy rozsądek nie służą im do usprawiedliwienia bezczynności wobec zła społecznego, nie przytępiają ich moralnej wrażliwości, ale dostarczają środków działania, zmierzających do zaspokojenia postulatów moralnych; w przypadku takich ludzi ich wrażliwość moralna ciągle jest żywa na wzór wrażliwości dziecka. Wszystko, o czym wyżej, zmierza właśnie do wyjaśnienia jednej tezy: wrażliwość Lenina na krzywdę ludzką, na krzywdę społeczną była w swej ostrości i gwałtowności wrażliwością dziecka i taką pozostała aż do schyłku jego dni. Wiedza i życiowe doświadczenia Lenina nie relatywizowały tej wrażliwości, nie stępiały jej; w wiedzy i doświadczeniu szukał Lenin zawsze środków działania, zmierzających do usuwania zła społecznego, zmierzających do zadośćuczynienia jego wysokim społecznym postulatami moralnymi.

Tym więc wszystkim, którzy w studiach nad osobowością Lenina szukają dla siebie moralnej dyrektywy życiowej, skłonny byłbym powiedzieć: zachowujcie wzorem Lenina na całe wasze życie dziecięcinie czułą wrażliwość na krzywdę ludzką; w życiowym doświadczeniu i życiowej mądrości nie szukajcie racjonalnej krytyki ludzkiej czy usprawiedliwienia dla własnej obojętności w walce z tą krzywdą; szukajcie w tym doświadczeniu i w tej mądrości środków do walki z ludzką krzywdą i ze społecznym złem. Życie Lenina było wcieleniem tych dyrektyw, a fakt ten w istotny sposób objaśnia jego wielkość.

Chcę jednak wyraźnie stwierdzić, że człowiek o dość wysokiej wrażliwości moralnej, nie potrafiący jej spręgnąć z gruntowną wiedzą na temat środków walki ze złem społecznym, nie obdarzony i nie kulturyjny w sobie żelaznej woli działania, woli walki ze złem, taki człowiek w najlepszym razie zostać może moralizatorem, a najczęściej czeka go los zornikowego zrzędy. Lenin, jak wiadomo, nie był po pro-

stu moralizatorem, nie stałby się wówczas wodzem rewolucji. To właśnie jego ogromna pasja poznawcza, jego wyjątkowa pracowitość dostarczyła mu wiedzy, w której wrażliwość moralna znajdowała wskazówki do działania przeciwstawiającego zło społeczne. To właśnie pasja poznawcza stanowi drugą cechę osobowości Lenina, która pozwalała nam zrozumieć jego wielkość i jego doniosłą rolę dziejową.

kształtowanego rozumienia życia społecznego. Całe jego własne życie było wzorem takiej właśnie postawy.

Okres twórczej pracy teoretycznej poprzedzony jest u każdego człowieka okresem uczenia się. Lenin od najmłodszych lat uczył się niezwykle wytrwale. Wytrwałość i pracowitość ujawniły się tu w sposób nadzwyczaj wyraźny. Nauka przychodziła mu wyjątkowo łatwo, piątki



Gorki 1922 r. Nadzieja Krupska i Włodzimierz I. Lenin.

Foto: M. I. Ulianowoj

Lapidarne wezwanie skierowane w 1920 roku do młodzieży komunistycznej — trzeba się uczyć — było wyrazem głębokiego rozumienia przez Lenina doniosłej roli wiedzy w kształtowaniu bytu i kultury społeczeństwa komunistycznego. Komunistą można stać się tylko wtedy, gdy się uczy, zdobywa wiedzę, zdobywa doświadczenie, zdobywa doświadczenie, zdobywa doświadczenie... Gdyby komuniści wpadli do głowy popisywać się komunizmem na podstawie otrzymanych przez siebie gotowych wniosków, bez przeprowadzenia bardzo poważnej, nader trudnej, wielkiej pracy, bez zorientowania się w faktach, do których powinien zastosować się krytycznie, to taki komunista byłby po prostu ubolewaniem. Domaga się więc Lenin od komunisty samodzielnie i krytycznie zdobywanej wiedzy, samodzielnie i krytycznie

sympia się jedna za drugą. Bardzo częstym zjawiskiem w takich przypadkach jest zmniejszenie się pracowitości, co często prowadzi do zaprzepaszczenia wręcz fenomenalnych zdolności. Lenin jednak nie dał się zwieść z drogi wytrwałej pracy. Kiedy w szkole spotykały go ciągłe wyróżnienia, a zadawany materiał pochłaniał mu tylko niezbyt dużą część wolnego czasu, młody Lenin nie wpadał w stan błędnego samozadowolenia, ale starał się dorównywać w pracowitości tym, którzy go pod tym względem przewyższają. Znajduje sobie wtedy wzór pracowitości w postępowaniu własnej siostry i marzy o dorównaniu jej pod tym względem. Zdobywa wiedzę wbrew wszelkim późniejszym przeciwnościom losu: przedwczesna śmierć ojca, śmierć ukochanego brata Aleksandra, straconego za udział w zamachu na cara, usunięcie z

uniwersytetu i pozbawienie praw do studiów — wszystko to, zgromadzone w dość krótkim czasie, mogło zalać niejednego dojrzałego człowieka. Lenin jednak nie poddał się losowi — i mimo wszystko — opanował program studiów prawniczych, aby w roku 1891 złożyć w charakterze eksternisty egzamin na wydziale prawa Piotrogadzkiego Uniwersytetu i otrzymać zaszczytny dyplom pierwszego stopnia. Jego zapał w zdobywaniu wiedzy i ogromna pracowitość nie ustawały nigdy; na zesłaniu i w więzieniach, na emigracji i w czasie okresów nielegalnego pobytu w kraju, zawsze nieodłącznym jego towarzyszem jest książka.

W ciągu całego swego życia realizował postulat, który w roku 1920 przekazał komunistom, a który domaga się, aby nie tylko przyswoić sobie hasła komunistyczne, ale poznać je samodzielnie, krytycznie zrozumieć drogą ludzkości do komunizmu. Studiował nie tylko dzieła Marksa i Engelsa, studiował nie tylko filozofię i ekonomię, zagłębiał się także w wiele innych dziedzin specjalnych, których znajomość uważał za konieczną dla świadomego rewolucjonisty. Ilekroć wysiłku podjął na przykład, aby zapoznać się z teoretyczną stroną powstania i walk powstańczych. Sprawa ta — pisał Krupska — zajmował się o wiele bardziej, niż o tym na ogół wiadomo, a to, co mówił o grupach uderzeniowych w wojnie partyzanckiej, „o piątkach i dziesiątkach”, nie było gadaniem laika, ale wszechstronnie przemyślany plan. Pracownik „Société de lecture” był świadkiem, jak każde rano przychodził rosyjski rewolucjonista w tanich spodniach, szwajcarskim sposobem podwinął, żeby się nie zabliźnił, i zapomniałszy je odwinąć, brał zastawioną wczoraj książkę o walce na barykadach, o technice natarcia, jak zwykle siadał przy stole pod oknem i puszczając właściwym sobie ruchem rzadkie włosy na tyś głowie, pograżał się w czytaniu. Czasem tylko wstawał, żeby wziąć z półki wielki słownik i znaleźć tam wyjaśnienie nie znanego sobie terminu, potem chodził tam i z powrotem, siadał znowu przy stole i na ćwiartkach papieru szybko, w skupieniu, pisał coś drobnym piórem.

Zadza wiedzy i umiejętności jej zdobycia — to według Lenina jeden z zasadniczych warunków, który spełnić musi działacz rewolucyjny. O swoim spotkaniu z popem Gaponem tak Lenin mówił do Krupskiej: Powiedziałem mu: „Wy ojeździe nie słuchajcie pochlebstw, tylko się uczcie, bo jak nie, to znajdziecie się tam” — pokazałem mu pod stół”. Niestety — pisał dalej Krupska — uczyć się Gapon nie umiał, Niemato czasu poświęcał nauce strzelania do celu i jeździe konnej, ale z książką mu nie szło. Wprawdzie za radą Ilijca zasiadł do czytania dzieł Plechanowa, ale czytał je jak by z obojętności. Nie umiał się uczyć z życia, Klechowska psychika zasłaniała mu oczy. Po powrocie do Rosji stoczył się w ocalałą prowokacji.

Lenin widział potrzebę uczenia się i umiał się uczyć; nauka porwała go i pozostawiała trwałe ślady w jego osobowości. Nigdy też w swoim życiu nie zrywał kontaktów z bibliotekami; sam z nich

ciągle korzystał i domagał się szerokiego udostępniania zbiorów bibliotecznych; w niezwykle ciężkim okresie porwulucyjnym ciągle wracał do sprawy organizowania bibliotek i upowszechniania książek. Już po Rewolucji, zwołany sprawami państwowymi, potrafił znajdować czas na naukę; oto prosi na przykład bibliotekę o wypóczenie mu słowników grockiego i łacińskiego, choćby na jedną noc. Łacińską pasjonował się w młodości i choć zarzucił ją później, bo zbyt absorbowowała jego uwagę, przeskądzał w zajmowaniu się sprawami o bardziej praktycznej doniosłości, to przecież trwała ślady. Krupska dziwiła się zainteresowaniu Lenina dla łaciny. Dopiero niedawno — wspomina — czytając to „Life” artykuł analizujący styl i składnię Włodzimierza Ilijca — przy czym autor zwraca uwagę na podobieństwo budowy zdania u Włodzimierza Ilijca do budowy zdania u rzymskich mówców, na podobieństwo oratorskich chwytów — zrozumiałam, dlaczego lektura łacińskich pismy mogła go pasjonować.

Rzeczywiście pasja poznawcza nigdy nie zatrzymuje się na etapie przyswajania sobie tego, co nauka już osiągnęła, nigdy nie zatrzymuje się na etapie uczenia się; z konieczności przeradza się ona w zwykłą pasję badawczą. Nic więc dziwnego, że uczenie się nie może zakończyć leninowskiej pasji poznawczej, która już w latach młodości przybiera charakter namiętliwej badawczej, namiętliwej, która jak wiadomo — przyniosła wadliwe owoce w wielu różnorodnych dziedzinach wiedzy o społeczeństwie.

Nie sposób tu omówić całokształtu twórczości naukowej Lenina; ona przecież niezmiernie różna. Już samo wyliczenie dzieł, które Lenin analizował, o które pisał i to pisał w sposób nowy, oryginalny, twórczy, daje nam o jego niezwykłego rozmachu badawczego:

- teoria walk politycznych i organizacji ugrupowań politycznych
- teoria powstań zbrojnych i walk powstańczych
- zagadnienia ekonomii politycznej, zwłaszcza ekonomii politycznej imperializmu
- teoria państwa i prawa
- filozofia i socjologia
- teoria kultury.

Z wyjątkiem może ostatnich kwestii, z wyjątkiem ogólnej teorii kultury, której nie poświęcił Lenina większych prac, choć pozostawił ten temat wiele istotnych myśli, wszystkie pozostałe dziedziny czekały się z jego strony poważnych prac. „Materializm a empiry krytycyzm”, „Państwo a rewolucja”, „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu”, „Rozwój kapitalizmu w Rosji”, „Kto to są „Praciele Ludu”?, „Co robić?” — to prace, których mogłyby poświęcić Leninowi niejedni z dowodzący filozof, socjolog, prawnik i ekonomista.

Następny materiał poświęć sygnalizowaniu pewnych problemów filozoficznych, przez Lenina oświeconych, a mających wciąż istniejące znaczenie.

Zdzisław Cackowski

od rzeczywistego, pulsującego życiem teatru. Miał uchwycić teatr w jego życiu i działaniu — wystawa podkreśla tylko ulotność, nieuchwytność sztuki teatru, która rozdzieliła się tylko w czasie przedstawień i umiera wraz z nimi. Nie jest w stanie jej zatrzymać, zrekonstruować. I dlatego muzeum teatralne są chyba najsmutniejszymi muzeami świata.

Jest tu też słynny wóz Matki Courage, który toczył się po wielu scenach świata, rozwożąc sławę Brechta, jego dramaturgi, jego stylu, jego teatru i jego aktorów.

2 października, godz. 19.30. Tych aktorów oglądam tego samego dnia wieczorem na scenie Berliner Ensemble. Helena Weigel, która ciągnęła wóz Matki Courage, grała tym razem Volumnie, a Ekkehard Schall, znany nam z roli Artura Ul, był Coriolanem.

„Coriolan”, napisany według Szekspira przez Bertolda Brechta, został za jego życia opracowany inscenizacyjnie, ale nie zrealizowano go na scenie. Już po śmierci mistrza jego asystenci Weweth i Teuschert wystawili „Coriolana” według opracowania Brechta. Przedstawienie dla współczesnego widza jest więc podwójnie zabytkowe: raz że jest dziełem pogrobowym Brechta, po drugie, że jego premiera odbyła się już pięć lat temu.

I cała obecna działalność Berliner Ensemble wydaje się już odcynować wyraźnie w kierunku muzealnictwa. Helena Weigel jeszcze od czasu do czasu wyłącza z biurek męża resztki rękopisów, fragmentów i notatek. Opracowuje się według nich nowe scenariusze, jak „Dni Komuny”, „Manifest”, składanki dla dzieci. Przedstawienia utrzymywane są w podobnym stylu inscenizacyjnym

i aktorskim. B. E. ma już plac przed teatrem, do niedawna „Schriftbauerdamm” nosi nazwę „Bertold Brecht Platz”. Już widownia zaczyna świecić pustkami i przychodzi tam coraz mniej berlińczyków, a coraz więcej turystów krajowych i zagranicznych.

Wiele znaków wskazuje na to, że B. E. może spotkać los MCHAT-u, los każdego teatru, który nie potrafi się zmieniać wraz ze zmieniającym się, jakże szybko, światem, los każdego teatru, który nie potrafi w pewnym momencie przestać grać starych, archeologicznych już inscenizacji, rozbić starych kulis i pruć starych kostiumów, burzyć własnych konwencji i nawyków, ogalać się z własnej chwały i tradycji. Rzykować.

W czasie przedstawienia „Coriolana” nad dachem teatru przeleciał nisko odrzutowy samolot. I nagle, całe przedstawienie, sprawne przecię i wartościowe, zostało jakby oświetlone dodatkowym, jaskrawym światłem. Postawione w kontekście współczesności. Okazało się karykaturalnie szare, nieporadne, nieważne, nieudolne. Takiego uczucia doświadczyłem jako widz. Coś podobnego odczułem jako reżyser, parę miesięcy temu, gdy w czasie przerwy w próbie generalnej, a pracowałem nad sztuką współczesną, napisaną w 1969 roku, wbiegłem na chwilę do teatralnego bufetu i między jednym a drugim lykiem parzącej kawy patrzyłem oniemiały wewnątrz na fantastyczne cienie astronautów, prześwietlone przez żółty blask słońca na tle czarności kosmosu, przesuwające się jak wielkie ryby w astralnym akwarium, krążące wokół niezwykłego kształtu pojazdu księżycowego. Chciało mi się wtedy wyjść z tej

próby, z teatru, a noc była wtedy nad miastem chmurna, pod niebo niskie i realnie ciemne, nie zapalał sztucznego blasku reflektorów, nie klamał, nie błądził. Jednak musiałem zejść na dół, odwołać aktorów od telewizora, coś poprawić przy jakimś kostiumie, wydawać jakieś dyspozycje asystentowi, coś mówić, coś improwizować. Było we mnie poczucie klęski. Własnej. Współczesnego teatru. Takiego samego uczucia doznałem na widowni Berliner Ensemble.

Ten teatr, jak może cały teatr współczesny, jest w tej chwili w fazie krytycznej. Na jakimś wielkim zakręcie. B. E. wystawił od chwili powstania, w 1949 roku, 40 premier i dał około 5000 przedstawień. To nie jest bardzo dużo, jak na jeden teatr. Ale dość, jak na jeden styl teatralny.

Bo dotychczasowe osiągnięcia B. E., jego wkład w kulturę europejską, są oczywiste i ogromne. Wdziłany przeze mnie teraz „Coriolan” przypomina o tym dobitnie. Ale tylko przypomina. Jego konwencje są już przestarzałe, zimne, nie funkcjonują jako konwencje współczesne. Całe przedstawienie jest spokojne, bez akcentów zapalających widownię. Zapewne jakiś uczone krytyk nazwałby to „dystansem”. Dla mnie była to po prostu nuda, brak osobistego zaangażowania aktorów w to, co robią. Przy czym swoje zadania wykonywali sprawnie i czysto. Słynna scena walki u bram Rzymu, z użyciem drabin i sieci, była precyzyjna, jednak zastosowanie konwencji umownego pokazywania fragmentów walki zmroziło widownię.

Kazimierz Braun

(Dokończenie w następnym numerze)

Marian Czepiec

ta strata dźwięczy wypuszczona wczoraj w cerkiewnej nocy wylotowej od złości w kamieniach odcisk łapy niedźwiedzia z szwarców miecz mój z ostrzem jak płomień

kadzielnie wiatru naczynia głębokie a proszę mnie w ucztę mięsytom skrzepem świtów w zaspianych kufkach z pianą koronek takt menueta czy marsz korników?

Kraków

Rafał Wojacek

Rękopis

Chodzę wśród wlosów słów, co są przedziwem skrytej w śnie stonozacieklej miłości.

Abym ją upiół w jawną już tkaninę musisz mi palce uzręcznie, mój Gościu.

Nie wiem skąd przyjdiesz: jeśliś jest kobietą uróde się z ciepłych macic miłości dloni.

Gdy z jednej wstanie glina twojego ciała z drugiej przetoczę w tę glinę śpięto krwi.

Oczy podyczą twoim oczom światła byś choć przez chwilę była świadkiem światła.

Język urodzi dwie kropelki śliny by splukał z ciebie strach widzialny — pot.

Będziemy mieli czas od ust do ust by przecieradło wiersza na nas spadło.

Wrocław

niędzy. A gdzie się duże pieniądze robi? Za granicą się je robi. I wtedy Witke nakreślił sobie plan długofalowy. Miał jakichś kumpłi z wojska na statkach rybackich, załatwił mu posadę pomocnika do wszystkiego na kuzynie dalekomorskim. Podczas drugiego czy trzeciego rejsu Witke zszedł w Szwecję na ład i więcej nie wrócił. Został „uchodzącą politycznym”. Jak przekonał władzę szwedzkie o konieczności udzielenia mu azylu, czym zapłacił za zgodę na „wybranie wolności”, to już pozostanie jego prywatną tajemnicą. W Szwecji rafa Witke nie miał, bo nie posiadał też żadnego zawodu. Był przecież niewykwalifikowanym rolnikiem i takimż rybakiem. Pojechał szukać szczęścia do NRF i tam mu się też nie wiodło. Tyle, że poduczył się murarstwa. Wreszcie trafił do Anglii. Tu udało mu się zacząć w tym samym, co Dwidzio przedsiębiorstwo remontowo-budowlane. Siedział tam między Anglikami i Polakami, do których się życie nie uśmiechnęło, w ciągu kilku lat nauczył się języka na tyle, że mógł porozumieć się w sklepie czy w restauracji. Zresztą jadał głównie w restauracjach, gdzie rozumiano po polsku, kupował w polskich sklepach, mieszkał u Polaków. Za to, co zarobił, kupował atrakcyjne ciuchy i wysyłał dziewczynie do Polski. No i oczywiście namawiał w listach, żeby przyjechała do niego, że tutaj i tylko tutaj jest prawdziwe życie i on na to życie potrafi zarobić.

Wszystko było niby na dobrej drodze, aż pewnego dnia przyszedł list od tej koleżanki dziewczyny, że tamta nie jest Witka warta, nie jest warta takiego chłopaka jak on, bo paczki, owszem, przyjmuje, co się jej podoba to na siebie wkłada, a resztę opyla po komisach i za te pieniądze zabawia się z różnymi facetami. Witkowi jak by ktoś w pysk dał, ale pomyślał „może to zażłość tylko”, i póki co, postanowił rzec całą sprawę. Napisał list do swojego starszego brata, żeby pojechał do Malborka i zbadał sprawę. Brat pojechał, popatrzył, popytał. Okazało się, że wszystko zgadza się jeta w jeta.

Więc cóż? Co trzeba było zerwać, zostało zerwane, a co trzeba było wypić — wypite. Ale ta koleżanka pisała dalej listy na różne inne tematy. Witke jej odpisywał — choć już paczek na wszelki wypadek nie wysyłał — i słowo do słowa, nagle okazało się, że koleżanka, to już nie koleżanka, tylko taka, co by chciała los swój związać z losem Witki. Nie było innej rady, jak tylko wysłać zaproszenie i zamówić obrączki...

Historia w miarę melodramatyczna, w miarę głupia, w miarę naiwna. Jak się dalej potoczą wypadki — nie wiadomo. Na razie czekamy na przyjazd panny, czasem robimy sobie zgrzyw z Witki, a Witke siedzi na worku z cementem i uśmiecha się niezdecydowanie, a czasem popatruje spode łba. Kto wie, jak się wszystko ułoży? Może Witke się ożeni? szczęśliwie i osiadzie na stałe w jakimś małym, zimnym pokoiku na Shepherd's Bushu, może się Kiedys dorobi własnego domku i samochodu, a może postąpi tak, jak marynarz, o którym mi niedawno opowiadał: zamelduje się któregoś dnia na polskim statku i — choć to brzmi trochę zabawnie — powie: „panie kapitanie, zgrzeszyłem, cholera, ukarzęcie, ale niech mnie pan zabierze do kraju”?

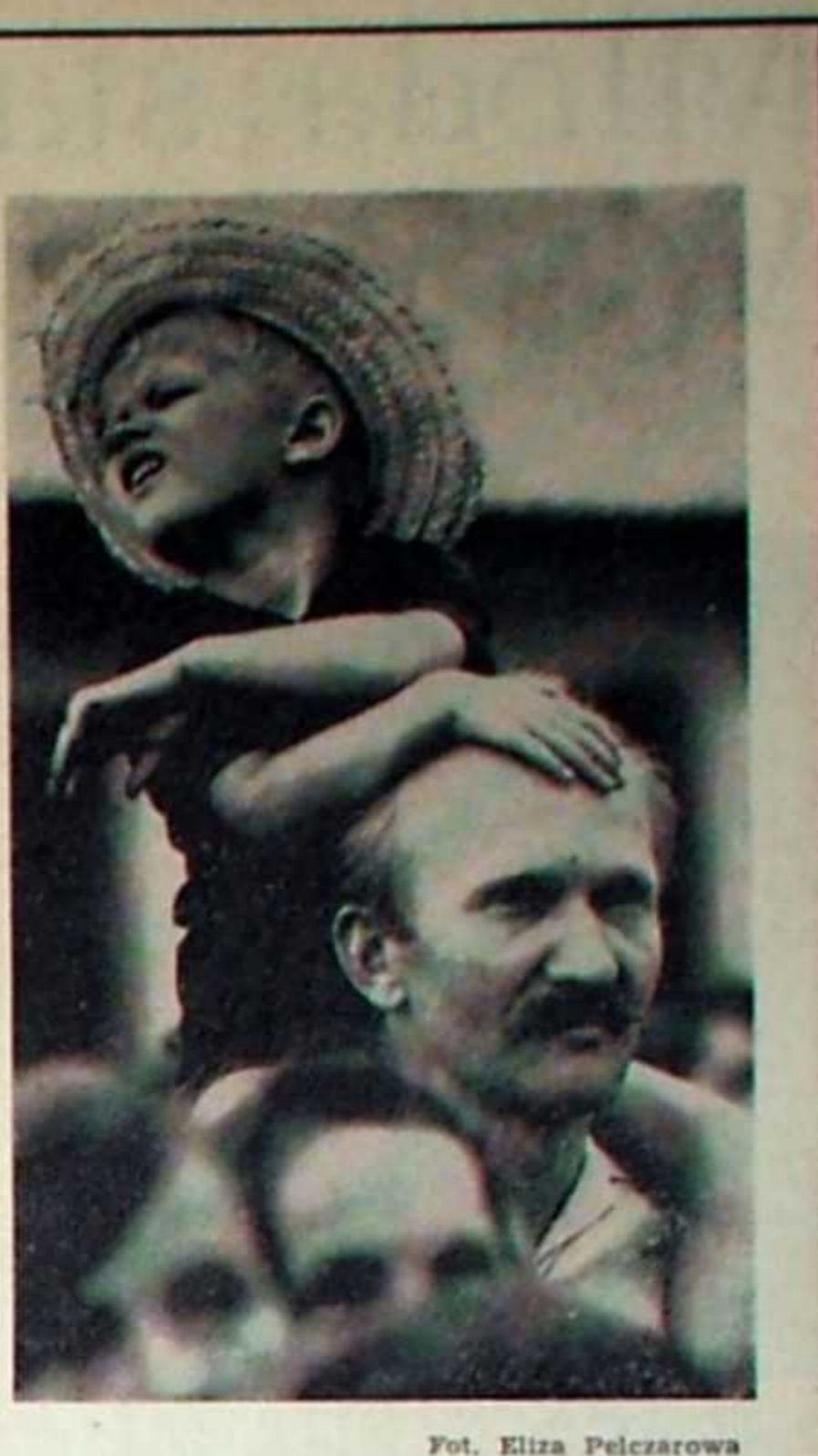
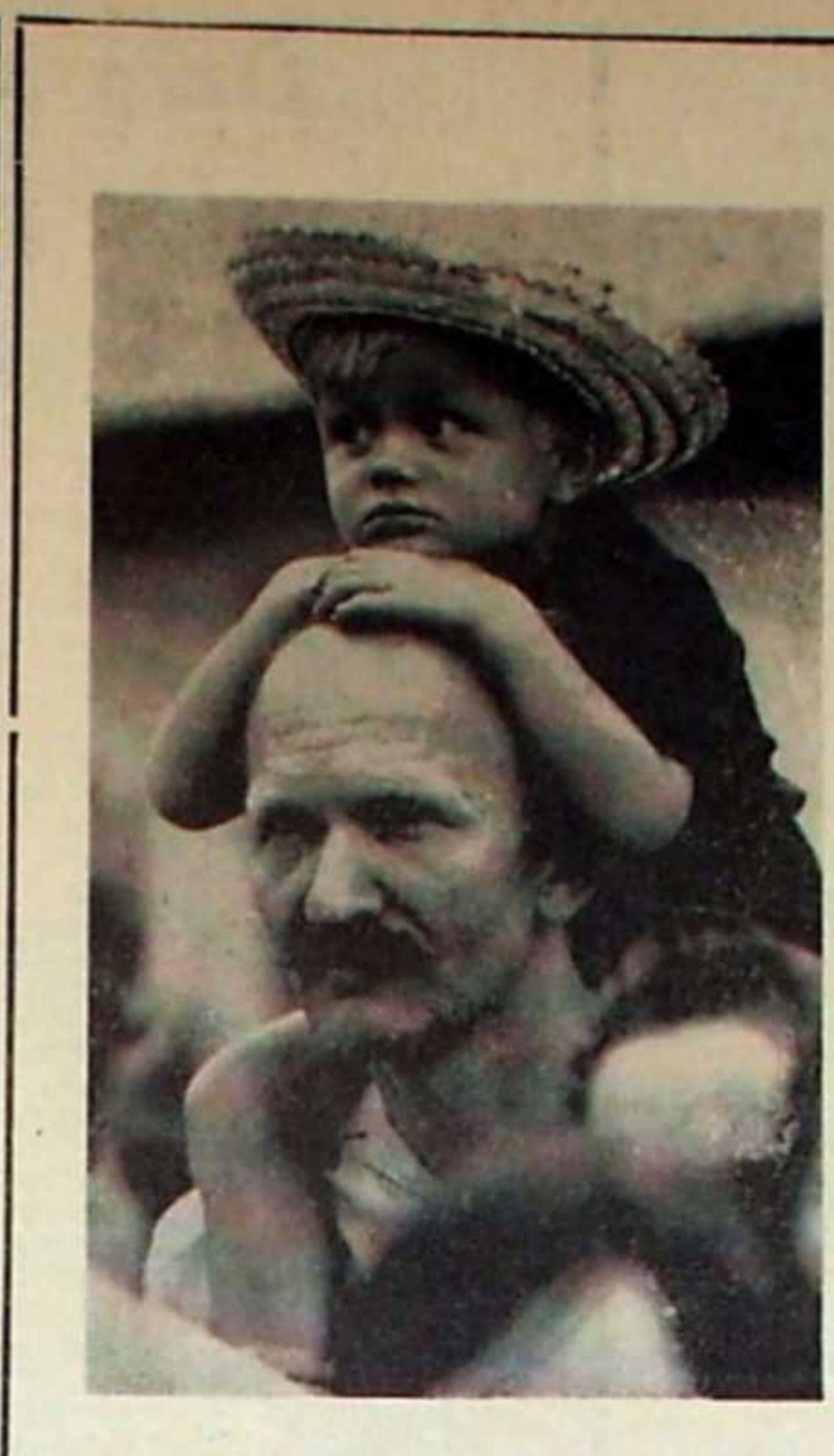
I nagle zaczynam rozumieć, dlaczego Witke tak pędzi Dwidzio do najcięższej roboty, dlaczego się nim stale wysługuje: Dwidzio ma bilet do kraju, w każdej chwili może ustalić datę wyjazdu!

zapewne bardzo żyzne gleby (m. in. w okolicach Chełma i Krasnegostawu, a więc w posiadłościach pisarza) oraz bliskie sąsiedztwo dwóch dużych, słynnych rzek: Bugu i Wisły, które ułatwiały szlachecki eksport zboża w Głęb Polski i do Gdańska.

W roku 1542 założył Rej na miejscu wsi Kobylice nową, znacznie większą wieś Sawczyn. W pięć lat później, w czasie nasilającego się ruchu reformacyjnego, na miejscu wsi świetnie rozwijającej się wsi Sawczyn założył małe miasteczko, nadał mu nazwę Rejowice. 4 maja 1547 r. otrzymał Rej od króla przywilej lokacyjny miasta, któremu przynależało „10 lat wolności i dwa jarmarki w roku”. Korzystne położenie Rejowca (przy szlaku handlowym Chełm—Krasnostaw) sprawiło, że miasteczko rozwijało się bardzo szybko. Rej, stając się z biegiem czasu, w miarę coraz ostrzejszych i powszechnych (np. targów Reja z duchowieństwem (np. targów od 1547 r., znane pod nazwą „Rej z mnichy”) spory z klasztorem jędrzejowskim), jednym z najsilniejszych filarów protestantyzmu. I tak w roku 1551 założył Rej w Rejowcu zbor protestancki, istniejący aż do jego śmierci, oraz wybudował kościół ewangelicki, zburzony dopiero w roku 1700.

W latach sześćdziesiątych XVI w. Rej mieszkał w Rejowcu. Świadczy o tym odwołany przez Stanisława Skłimskiego dokument Reja z dnia 11 listopada 1568 roku, na mocy którego pisarz wydzierżawił Waszczę wiesz Wresce w powiecie chełmskim. Wresce w powiecie chełmskim Reja widzieli tego dokumentu z przedniego gospodarza. Na tej podstawie możemy też przypuszczać, że autor „Zwierciadła” proś o Rejowca, niezbyt przecież odległego od Lublina, udął się na sejm lubelski, by radą swą i doświadczeniem służyć postom i Rzeczypospolitej.

Z innych dokumentów wiążących Reja z Ziemią Chełmską wymienić należy własnoręczny kwit pisarza wydany 13 stycznia 1568 roku, stwierdzający, że Rej pobierał cło chełmskie i Chelmie też kofei 30 grzywien. W pensje roczną otrzymywał Rej stają przynależała mu (z w. jurgiel), która przynależała mu Zygmunt August.



Fot. Eliza Pełczarowa

Mały kibic

Inżynierowie nie chcą wiedzieć...

Dokończenie ze str. 1

informacja techniczna przez produkcję zasadniczą traktowana jest trochę jak piąte koło wozu.

Tymczasem lekceważenie informacji przez inżynierów produkcji ma często ten skutek, iż tę samą rzecz, z którą — gdyby czytali materiały otrzymane z ośrodka zakładowego — mogli zetknąć się i ewentualnie wprowadzić przed paroma laty, teraz muszą wykonywać albo w postaci wniosku racjonalizatorskiego, albo jako program opracowany i narzucony przez fabryczne biuro konstrukcyjne czy technologiczne. A więc — z jednej strony brzemienne w skutki techniczno-ekonomiczne paroletnie zapóźnienie, a z drugiej — zupełnie niepotrzebne, często kosztowne dublowanie pracy.

W Woj. Oddz. NOT od jej sekretarza, mgr Tadeusza Tuza, dowiadujemy się, że podobną do wyżej opisanej sytuacji mają wszystkie zakłady kluczowe Lubelszczyzny, a ponadto LZB, DOKP, WZSP i Woj. Zjedn. Państwowych Przeds. Przemysłu Terenowego. Przy czym opisana sytuacja — w tej grupie zakładów — uznawana jest za najlepszą. O wiele gorzej jest w zakładach mniejszych. Są i takie, w których nie prowadzi się praktycznie żadnej informacji naukowo-technicznej.

Powoduje to paradoksalne wręcz skutki. Taki przykład. FSC — posiadająca dobrą relatywnie informację — osiągnęła wydajność pracy na 1 robotnika prawie 800 tys. zł, a dysponująca gorszą informacją

LFMR ma wydajność w granicach 300 tys. zł, zaś szereg jeszcze mniejszych zakładów terenowych, gdzie jest gorszy park maszynowy i informacja w ogóle nie istnieje lub kuleje, może legitymować się wydajnością w ramach 100—200 tys. zł. Jeśli w przepływie (i wykorzystaniu) informacji technicznej do tych małych zakładów nie nastąpi radykalna zmiana, owe dysproporcje, zamiast zmniejszać się, nadal będą — i to szybko — rosły. Wprawdzie informacja techniczna to tylko jeden z wielu czynników kształtujących poziom wydajności pracy i to kształtujący w sposób pośredni, ale zależności są wręcz jasne. Ich sens w pewnym stopniu zilustruje fakt z bliźniaczo analogicznej dziedziny — mianowicie oblicza się, że poniesione na racjonalizację nakłady w ciągu roku zwracają się ponad 10-krotnie! Identyfikacja jest z informacją techniczną.

O ile w samych zakładach kluczowych relatywnie jest dobrze — mówi mgr T. Tuz — to zupełnie przeciwnie jest z koordynacją poziomą w skali województwa. Każdy zakład kluczowy należy u nas do innego zjednoczenia lub branży. Są to więc piony, by rzec obrazowo, słupy bez plotu, których nie łączy. Wszystkie ośrodki zakładowe działają w pojedynkę.

W 1962 r. na mocy Uchwały Rady Ministrów nr 187 ułożono przedkład ten niekorzystny układ: miał być powołany w Lublinie Woj. Ośrodek Informacji Naukowo-Technicznej i Ekonomicznej. Ośrodki takie powstały tylko w Szczecinie,

Poznaniu i Wrocławiu. W Lublinie zastosowano ciekawe kontrargumenty: WOINTE uznany został za sztuczny i nieskuteczny twór administracyjny, przy czym twierdzono, że kilka osób personelu może zrobić dużo lub nie, że problem tkwi nie w tworzeniu instytucji, lecz w praktycznym wykorzystaniu informacji technicznej w zakładach... Służności powyższej argumentacji dziś nie sposób ocenić — lepsze wyniki osiągnęte przez Poznań i Wrocław mogą być w równym stopniu skutkiem wyższej próżności tych regionów, co zręczystej koordynacji poczynił teoretyczno-technicznej.

W każdym razie w 1967 r. sprawa koordynacji poziomej przepływu informacji technicznej w województwie powróciła, dowodzącą swoją ważną funkcję w życiu gospodarczym Lubelszczyzny. Wzgardzone dziecko konieczności, i natarczywie, domagało się miłości. Do tego stopnia, że z czasem zmieniło swój charakter. Stąd zmiana koncepcji: koordynatorem poczynił w zakresie informacji w skali regionu — w wersji z 1967 r. — miał być organ o statusie społeczno-instytucjonalnym, administracyjnie podporządkowany PWRN, a merytorycznie — tzw. Radzie Programowej. W skład Rady mieli wejść przedstawiciele WRN, lubelskich wyższych uczelni, stowarzyszeń naukowo-technicznych jak SIMP, SEP, SITR itd., NOT, WKZZ, PTE, TNOIK i przedstawiciele zakładów pracy. Rada budowała programy i nadzorowała ich realizację, zaś 4—5 osobowy aparat urzędniczy, umiejscowiony w WRN, sprawowałby funkcje wykonawcze, łącznie z prowadzeniem bieżącej dokumentacji.

Ta interesująca propozycja, którą zyskała, ale mało zdecydowanie przysłał Komitet Techniki i Nauki, niełatwo rozbiła się o... brak etatów. Ktoś przedobrził (było to bezpośrednio po VII Plenum), zbyt sztywno rozumiejąc postulat oszczędności gospodarowania etatami.

Rezultat? Np. rozprawienie zastawionych wniosków nie przekracza 2 proc., a więc ze 100 wniosków usprawniających, zastosowanych w zakładzie A, wszystkie inne zakłady przyjęły u siebie tylko 2 (zresztą analogiczne wskaźniki charakterystyczne są dla całego kraju, co dowodziłoby, że sytuacja na Lubelszczyźnie nie należy do wyjątkowej). Więcej, często w zakładzie X zupełnie od nowa robi się to, co np. dwa lata temu świetnie zostało rozwiązane w zakładzie A...

W czasie rozmów, przeprowadzonych ze znajomymi przedmiotem, zapytałem, co należy i co konkretnie zamierza się uczynić w celu poprawy odległej jeszcze od optymalnej, a brzemiennej w szereg negatywnych skutków, sytuacji? Na pierwszym miejscu zgodnie wymieniali się potrzeby powołania owego organu koordynującego, który w 1967 r. skazany został — jeszcze przed powstaniem — na zagładę z powodu owych nieszczęśliwych 4—5 etatów. Podobne stanowisko zajęła komisja ekonomiczna KW PZPR na swym czerwcowym posiedzeniu. Należy zatem oczekiwać możliwie rychłego ruszenia sprawy z martwego punktu — im szybciej, oczywiście, tym lepiej.

Lubelski oddział NOT widzi ponadto pilną konieczność — stosownego powszechnie w krajach przemysłowych — gromadzenia w działach tematycznych jednolitej dla całego województwa „informacji o informacji”. (Mówiąc obrazowo idzie o to, by interesujący się konkretnym zagadnieniem mógł szybko znaleźć w przejrzystych katalogach kompletną i zaktualizowaną bibliografię tematu, oraz by na miejscu mógł uzyskać pełną wiedzę o tym gdzie może otrzymać wybrane i zycje źródłowe).

Postuluje się również konieczność systematycznego wydawania specjalnego periodyku (kwartalnika), który w formie biuletynu informowałby o nowych opracowaniach zwłaszcza własnych z terenu województwa, oraz popularyzowałby treść i korzyści powszechnego sowania informacji naukowo-technicznej i ekonomicznej. Obecnie przypadku do przypadku, w najlepszym razie co pół roku, wydawany przez WKZZ i NOT Informacja Woj. Klubu Techniki i Racjonalizacji przechodzi przez tak karłowate perturbacje z przynależnym papieru — na 600—800 egzemplarzy — że wydawcy muszą uciekać do humorystycznych wręcz chwytów, lokując powielanie pozycji w... Warszawa. Tymczasem wydawnictwo takie miałyby duże znaczenie, zwłaszcza dla tych małych zakładów, w których z kolei najgorsza jest sytuacja w omawianym kresie.

Aktualnie NOT w Lublinie prowadzi kompletowanie księgozbiorki kładąc główny nacisk na gry edycji o charakterze encyklopedycznym; uzupełnia materiały zawierające dane o stanie informacji poszczególnych zakładach, instytucjach i organizacjach; przywołuje otwarcie czytelnicy czasopi (95 tytułów krajowych i 61 zagranicznych); stara się o aparat projektowy do wyświetlania filmów i pul-rnonsukowych i specjalistycznych; przygotowuje systemy szkolenia dla pracowników zakładowych ośrodków informacji. Sprawy te są jednakże niełatwe do wykonania. Ale czy wystarczająco, by mogły być oczekiwanym pożądanym, dawną oczekiwanego radykalnego zwrotu?

Nie formułuję tu własnych wniosków, nie leżały one zresztą zamyśle piszącego. Zamierzeniem moim było dokonanie reporterskiego zwiadu w rejonie dla przemysłowej i gospodarki niezmiernie ważne, a pozostawiając jeszcze sporo do życzenia. Zresztą wszelkie jednostkowe próby sugerowania rozwiązań praktycznych odniesieniu do tak złożonych i trudnych zagadnień, nie miałyby większego sensu praktycznego. Teraz wymaga z pewnością szerszej dyskusji w gronie fachowców i — przede wszystkim — konkretnego działania, możliwie niezwłocznie po ustaleniu poglądów i powzięciu rzeczywistej wiążącej decyzji.

Stanisław Harasimiuk

Młoda starość Wandy Siemaszkowej

Cecylia Błońska



Wanda Siemaszkowa w roli Pani Tabret w „Świętym płomieniu” W. Somerset Maughama. Teatr w Rzeszowie, grudzień 1945 r.

ła w kwietniu 1939 roku w Katowicach. W momencie wybuchu wojny przebywała we Lwowie, gdzie w 1941 r. wystąpiła w „Niepokojnej starości” Rachmanowa, a jej rolę Marii wysoko w recenzji ocenił Boy-Zeleński; dwa kolejne lata wojny spędziła w Wieliczce, ucząc polskie dzieci historii literatury i deklamacji.

Szeroko zapowiadany w ramach owego „Tygodnia Teatru” koncert poetycki Siemaszkowej udał się nadzwyczajnie. W drobnej, siwej staruszcze, o nieco chropawym, a równocześnie bardzo dźwięcznym głosie, rzeszowska publiczność — jak relacjonował „Dziennik Rzeszowski” — długo nie milknącymi oklaskami i kwiatami witała „naszą Panią Teatru”. Zaczęła od wierszy Konopnickiej, od wyjątków z „Pana Balcera”, by przejść do norwidowskiego „Fortepianu Chopina”, obszernych fragmentów z „Pana Tadeusza”, do Tetmajera — „Na anioł pański”. Występując bez kostiumu, bez charakterystycznej, raczej skromnej, drobnej niż dostojnej, Siemaszkowa z miejsca opanowała widownię.

Z tego czasu zachowałyśmy kilka jej bardzo charakterystycznych listów; pisane piękną polszczyzną, trochę rozwlekłe, tchną, jak na wiek autorki, niezwykłą, można by powiedzieć — młodzieńczym entuzjazmem. W tydzień po wyjeździe z Rzeszowa zwierza się: „Zdaje mi się ciągle, że przeżywam chwile tam spędzone. Na liczne zapytania jak było, odpowiadam — wspaniale! Podniosłość nastroju spotęgował lot samolotem w słoneczny, jasny dzień. Za nisko mi leciałeś ptaku metalowy, myśl wyżej sięgała! (Siemaszkowa ma wówczas lat 78). Wychwała zapal rzeszowskich adeptów sceny, pisząc: Trzeba bardzo kochać pracę w teatrze, do której przystąpiono w nieprawdopodobnie trudnych warunkach, bo trzeba przystać, że nie każdy w nieopalanym budynku, w zimie, w mroź np. i w letniej sukieneczce z obnażonymi ramionami, wielu z grupą i to gorące, byłoby w stanie grać swoje role — aby trwać i wytrwać, przełamać trudności i wspinać się na wyżyny, gdzie stołce kwieci, uśmiecha się wieczna wiosna — utłuda życia i tęsknota; Piękna sztuka. W listach pochwała ówczesne rzeszowskie przedstawienie „Zemsty” Fredry. Z sympatią wyraża się o młodzieży, która licząc uczestniczyła w jej koncercie słowa. Szczególnie cieszy artystkę właścicielka reakcja młodzieńczej widowni na zagęszczone artystycznie i ideowo wątki wielkiej powieści Mickiewicza. Norwida, Konopnickiej, i ta dyskretna — jak to określa — uciecha przy bajkach Krasińskiego, w czym dostrzega wyraźny wpływ szkoły, słów nauczycieli. „Przyłecz!” — zapowiada, deklarując swoją pomoc teatrowi w Rzeszowie.

W sezonie teatralnym 1945/46 i kolejnym 1946/47 rzeszowski teatr pozostawał pod dyktando Wandy Siemaszkowej, która szybko zżyła się z nowym środowiskiem. Mieszkała w odnajętym kawalerskim pokoiku, dla siebie żądając niewiele. Jej myśli, życzenia, pragnienia ogniskowały się wokół teatru i jego potrzeb. Zabiegając dzień o środki finansowe, nie wykluczała wyrzeczeń i świadcząca całkowicie osobistych. Uboga bizuteria, jakieś pozostałości cennych ozdób, których nie zdołała pochłonąć zawsze potrzebująca pomocy jej liczna rodzina, nieraz w głębokiej tajemnicy wędrowały pod zastaw, by teatralna kłosa nie świeciła pustką.

Gdy wspominając ją z nieubłaganej perspektywy lat — zmarła w sierpniu 1947 roku w Zarnowcu w dworku Konopnickiej, w domu z którym szczególnie była zaprzyjaźniona — konfrontując jej bogatą biografie z tym, co robiła w Rzeszowie, widzę jakąś generalną, choć przecież nie zamierzoną powtórkę: rzadziej ról, a przede wszystkim całego kompleksu spraw, które przez całe życie pasjonowały ją w królestwie Melpomeny.

Wyreżyserowała tutaj 8 sztuk, przeważnie z repertuaru, z którym obcowala już po wielokroć; jej debiut wszak odbył się na scenie Teatru Krakowskiego w 1887 r. Pierwszą Panna Młoda w „Weselu” Wyspiańskiego, Szalona Julka, Młynarka, Balladyna, Maria z „Warszawianki”, tu u schyłku powracać mogła na scenę tylko w roli starej kobiety, matki. Temu niewątpliwie wzdzięczaliśmy jakże tradycyjną, wręcz patetyczną apoteozę matki w „Żywym obrazie”, jaki pracownicy przygotowała na dzień święta matki. A następnie sztuka „Święty płomień”. W Somerset-Maughama (grudzień 1945 r.), którą reżyserowała, grając jednocześnie rolę Pani

Tabret, oraz przedstawienie „Balladyna” — pierwsze w kraju od 1939 r., w jej reżyserii i z jej kreacją Matki.

Być może, iż „Święty płomień”, w którym grała w Teatrze Polskim w Katowicach w 1935 r., miał wtedy inny wydźwięk aniżeli na rzeszowskiej scenie, gdzie dramatyczne okoliczności co dopiero zakończonej wojny treścią „Świętego płomienia” nową nadawały rangę. Pani Tabret pozbawia życia nieuleczalnie chorego syna; jakże żywe dyskusje budziła ta postać, której decyzję rozważano w kategoriach moralnych, z dala od kryminalnego wątku. Nie nadzwyczajna skądinąd sztuka, nasuwała wówczas zasadnicze pytanie: czy bez względu na okoliczności człowiek ma prawo pozbawiać życia drugiego człowieka? Tę matkę-zabójczynię Siemaszkowa grała w sposób wyjątkowo oszczędny, skupiony; i jak długo trwało przedstawienie, widownia była po stronie... Pani Tabret.

Rzeszowska „Balladyna” godna jest wejść do historii polskiej sceny narodowej. Jako reżyser Siemaszkowa nie uznawała jakiegokolwiek dystansu do dramatycznego dzieła, w rzeszowskiej „Balladynie” wszystko działo się na serio. Zbroje lśniły od żelaza, w lesie Alina i Balladyna z gęstego poszycia zrywały do dzbanków czerwono-krwiste jagody, w czasie burzy pioruny z nieklamana grozą przełaziły się nad scenicznym horyzontem, a drobniutka, odziana w lachmany staruszka — Matka do leż wruszała widownię. Przy grze, w której po mistrzowsku eksponowała całą tragedię skrzywdzonej matki, nie jednokrotnie, a jednej z tysięcy, zasadniczy wątek „Balladyny” — dramat zachłannej władzy, drapieżnych namietności rodzających powikłane zbrodnie — schodził na plan drugi...

Wznawiając czasami w Rzeszowie rolę ongiś kreowane powracała też do innych przedsięwzięć, które podjęła ją przez długie lata wędrowek po scenach kraju i zagranicy; do działalności pedagogicznej. Do głębi przekonana, iż w Polsce Ludowej przed teatrem otwierają się możliwości i perspektywy, jakie nie miał dawniej, szczerze ujmowała wiarę w możliwości nieustannych narodzin nowych talentów wśród młodzieży, wśród amatorów, w których bezbiednie na ogół dostrzegała ową „iskrę”. Nie była się też operowania na scenie całymi zespołami młodzieży, które w sposób zdyscyplinowany poddawały się jej kierownictwu. Oto np. wieczór mickiewiczowski, zorganizowany przez nią i czerwca 1946 roku. Wręcz z artystką i zespołem teatralnym występuje chór męski II Państwowego Gimnazjum oraz młodzieżowy chór mieszany. Ogromnie lubił asystować przy próbach, czego nam nigdy nie wzbraniała, rada w sposób widoczny, gdy w kilku rzędach na sali teatralnej, bynajmniej nie awizowana, zasiadała podczas prób młodzież z miejscowych liceów, ze szkół zawodowych. Niejednego z tych młodych znała po imieniu i nazwisku, zwykła kwitować ich występy w teatrze serdecznym odręcznym liścikiem i przysłała do domu tabliczką czekolady.

„Norę — Dom Lalki” Ibsena obsadziła w większości amatorami. Nie tolerowała u aktora jakiegokolwiek rozbieżności między tekstem a gestem, traktowania nakreślonych przez autora sytuacji z tzw. przybliżeniem oka. Gdy więc Ibsen nakazywał bohaterowi opuścić dom, a aktor-amator jej zdaniem wykonywał to nadto powoli, sięgając do rosyjskiego porzekadła przynagliła go żartobliwie słowami: „Ja ujeżdżają, ja ujeżdżają, a ja stoju!”

Z ludzi teatru, z aktorów, którzy w Rzeszowie współpracowali z Siemaszkową, wymienić wypada Antoniego Graziadio, Jerzego Andruchowicza, jej dawną uczennicę Neonillę Kilar, Marię Malinowską, Lidę Graziadio...

Obchodząc obecnie czterdziecie swego istnienia rzeszowski teatr im. Wandy Siemaszkowej wspomina swą patronkę przy okazji galowych jubileuszów. Warto by jednakże — póki żyją jeszcze ci, z którymi na ostatniej scenie swego życia była blisko i trwa w ich pamięci — zatroszczyć się o bardziej szczegółowy, udokumentowany zarys rzeszowskiego okresu działalności Siemaszkowej. Usadniają ją do jej wybitne zasługi dla polskiego życia teatralnego.

Wdzięczny to zwłaszcza temat pracy magisterskiej czy doktorskiej dla słuchaczy Katedry Języka Polskiego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie.

„Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę”

Maria Bechzyc-Rudnicka

KTOKOLWIEK ma w Lublinie jakąś styczność z życiem teatralnym wie już na pewno, że „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę...” jest rzeczą, którą trzeba zobaczyć. Od dawna Teatr im. J. Osterwy nie mógł się pochwalić taką frekwencją — widownia wyprzedana do ostatniego strapatona na długo naprzód. Oby to było pożądaną prognozą dla sytuacji lubelskiej sceny dramatycznej w nowym sezonie.

Powodzenie widowiska Lecha Budreckiego i Ireneusza Kanickiego posłada swoją specyfikę. Autorzy utrafilili z wyjątkową celnością w nastroje i upodobania szerokie kręgi społecznych, w ich świadome bądź podświadome tęsknoty za heroizmem. Bo tak już jest, że nie umiając często wysublimować bohaterstwa ofiarne go dla kraju w czasie pokoju, człowiek rozpaka najnobilsze potrzeby swego ducha adoracją romantycznego bohatera czasu wojny.

Romantyczny bohater widowiska „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę” jest zbiorowy. To — całe społeczeństwo polskie oporne hitlerowskiemu najeźdźcy. Nielatwo byłoby o lepszą koncepcję sceniczną dla uczczenia tego bohatera, niż oparcie widowiska na niezniszczalnym podłożu piosenek partyzanckich i żołnierskich, drogiej sercu Polaka, uświęconych krwią tych, co je śpiewali oddając życie za ojczyznę.

W słowie wstępnym do swego scenariusza piszą autorzy:

Dążeniem naszym nie jest stworzenie przy pomocy piosenek kroniki polskiego ruchu oporu. Idzie nam o obraz syntetyczny, niejako skrótowny, acz nie pretendujący do uchwycenia wszystkich istotnych



Lech Budrecki i Ireneusz Kanicki — „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę” (Z etiudy dramatycznej) „Wo sind die Banditen?” Henryk Sobiechart (skazaniec). Foto: W. Parys

spraw czasu. Nasze ambicje są skromniejsze. Pragniemy przekazać impresję związaną z piosenką partyzancką, która odświeciła przecieć walkę polskiego narodu o niepodległość.

Realizacja odpowiada w pełni z zamiarowi autorów. „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę” jest wyborem szlachetnych prawd o zasadniczej postawie społeczeństwa polskiego w latach okupacji. Wydaje się nawet, że ta synteza (obejmująca przecie okres 1939—1944) aż nadto abstrahuje od niektórych historycznych konkretów — równie szlachetnych. Tak czy inaczej, autorzy osiągnęli swój cel: widowisko wywołuje wśród publiczności potężny oddźwięk emocjonalny.

Originalność koncepcji tworzącej w „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę” polega m. in. na tym, że w odróżnieniu od ogółu sztuk i filmów poświęconych tej epoce, Polacy są tu na scenie sami. Nawet niemiecki agresor pozostał poza polem widzenia, rzecz naturalna, skoro akcja toczy się w gruncie rzeczy w lasach — Niemiec bądź co bądź bał się do lasu zapuszczać... Te izolacje leżą akcentują konsekwentnie nawroty, od początku — do końca, rozpaczywołania Radiotelegrafisty: „Zrzut przyjmujemy dziś albo już chyba nigdy!”

Autorzy utrzymali jedność nastroju. Mimo kilkakrotnych interpolacji scenek reprodukujących humor ludu warszawskiego, jego satyrę na okupanta, mimo

kilku piosenek wesołych czy żartobliwych, w ciągu całego widowiska panuje nieprzerwanie aura bolesnego przeżycia się tragicznym losem bohaterów w niepokojnym oderwaniu od historycznego „happy endu”.

Udatnej realizacji scenariusza „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę” sprzyjała ta szczęśliwa okoliczność, że jeden z jego współautorów, Ireneusz Kanicki, jest zarazem inscenizatorem i reżyserem widowiska. Czymże by ono było bez talentu, bez ogromnej pomysłowości inscenizatora i reżysera? Montażem patriotycznych piosenek na użytek zespołów amatorskich i organizatorów akademii. Mając do dyspozycji piosenki ze wszech miar szczerne, lecz niewymyślne pod względem formy, oraz fakty przechowane w pamięci narodowej, Kanicki przekształcił to autentyczne tworzywo w dzieło teatralne wysokiej jakości.

Bardzo wrażliwą interpretatorką jego wizji okazała się Irena Skoczka jako scenograf widowiska — rzecz wielkiej wagi, gdyż obok tego, co nazwałoby się canis continuo, scenografii decyduje przede wszystkim o swartości struktury teatralnej. „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę”. Dekoracja p. Ireneusza Skoczki jest fascynująca kompozycja z elementami niesłychanie podatnymi do wymownego wyodrębnienia światłem, w ścisłym związku z poszczególnymi momentami spektaklu i ich lokalizacją.

Nie wolno też przemilczeć osiągnięć Andrzeja Hundzika (opracowanie muzyczne), Stefana Zawarskiego (opracowanie dźwiękowe), Sławomira Lindnera (ruch plastyczny), no i trudu Stanisława Ursteina nad przygotowaniem wokalnemu zespołu teatru dramatycznego. Cudów też dokazał dzięk. L. Kanickiemu elektrycy z Edwardem Cichońskim na czele, bo każdy widz chyba się orientował, jakie znaczenie w tym spektaklu ma światło i jak dalece operowanie reflektorami było tym razem niebagatne.

Wykonanie aktorskie, zarówno dramatyczne, jak wokalne, jest tu w przeważającej mierze zespołowe, wymienimy tedy całą obsadę widowiska. Podaję ją z zastosowaniem kolejności, która znajduje się w programie: Sylwester Woronicki, Zbigniew Górski, Marian Drozdowski, Maciej Polaski, Zbigniew Sztelman, Piotr Suchora, Barbara Martynowicz, Maria Kaczowska, Adela Zgrzybłowska, Roman Bartosiewicz, Franciszek Brodziak, Jerzy Smyk, Henryk Sobiechart, Witold Zarychta, Urszula Rydzewska, Andrzej Gazdeczka, Maria Szczechówna.

Przechodząc od ogółu do szczegółu wspomnę o kilku „etiudach dramatycznych”, które według mnie wywierają na widzu najsilniejsze wrażenie.

A więc przede wszystkim zbiorowa, zsynchronizowana Przysięga na wstępie i w finale. Zwłaszcza na wstępie. W niej jednym może widzu naszym wytworzyła ona podłoże psychiczne do emocjonalnego towarzyszenia pokazanemu przez telewizję słuhowaniu nowo promowanych oficerów w niedzielę 12 października.

Nadzwyczaj sugestywne jest crescendo trwogi w rozpaczliwych nawoływaniach Radiotelegrafisty (Zbigniew Górski) i do najbardziej wstrząsających momentów należy scena, w której odwrócony plecami skrzypek gra „Piosenkę o mojej Warszawie”, podczas gdy z megafonu rozlega się głos recytujący z dużą siłą ekspresji: *Grajku poranny, komu ty tak grasz? Tam są schody bez domów i piętrowe bez żywych... Grajku poranny, komu ty tak grasz?*

Głębokie wzruszenie wywołuje etiuda „Wigilia”: w gronie partyzantów Kobieta (Adela Zgrzybłowska), snująca tragiczną opowieść o zgładzeniu trzystu mężczyzn z jej wsi. Grozą tchnie też „Wo sind die Banditen?”, gdzie wymowną postacią skazańca stworzył samym „działaniem scenicznym” Henryk Sobiechart, a Urszula Rydzewska, odzwierciedlająca postać torturowanej dżwięczyny, doskonale skoordynowała ruch i mimikę z zakulisową akustyczną „ilustracją” „Pieśni o bicciu”.

Na długo także zostanie w pamięci powszednia rozmowa Matki (Maria Szczechówna) z nieznanym, na podtekście serdecznego z troską o syna-partyzanta. A przepiękna grupa Pieta, którą tworzą kobiety recytujące „Balladę o Jastrzębku” (Recytacja jednak potrosze niweczy wyraz plastyczny).

Z piosenek o nastroju pogodnym szczególnie przyjemnie wypadła „Natalia” Wacława Bojarskiego i Andrzeja Trzebińskiego, wykonana dziarsko przez zespół, a także „Palacyk Michla” Józefa Szczepańskiego z wdziękiem interpretowała trio: Andrzej Gazdeczka, Piotr Suchora, Witold Zarychta.

Zainteresowanie od strony artystycznej budzi poza tym faktura finału, złożonego z reminiscencji poszczególnych elementów widowiska. I tak dalej, i tak dalej — właściwie trzeba by wymienić wszystkie pozycje spektaklu...

Wojciech Kiełczewski

odpłynęłaś od mojego brzegu
fala
od mojego głosu
echo
od mojego ciała
moje drugie
JA

przyjdą inne fale
utopia twoje imię
uciszą mój niepokój
uśmiechną

erotyk

złotą obrączkę kupilem ci
nowy błysk w oczach
z najwzruszniej półki zdjęty
najjaśniejszy

o północy
kiedy stanęłaś w zenicie
spojrzałem w ciebie
bez zmruczenia oczu
zbliżyłem do ust
i wychyliłem
do dna

Lublin

Wiara w słowo

OSTRZE" Marii Józefackiej otwiera wiersz noszący tytuł „oszczep”. Oto jego początek:
zawierz nazwie
nie strasz
choć pest nie ma pokrycia
mówisz — oszczep
i rozierz przyznasz
co w skoku

Tych kilka zdań wystarczyłoby w zasadzie, by zrozumieć prawdziwa, które rządzą tą liryczną „Zawierz nazwie” — w powiedzeniu tym pięćdziesiąt bez mała program poetycki. Oznacza to zwiastującą pozycję każdego słowa, liczenie się z jego etymologią, odcieniami znaczeniowymi, kontekstem. Poetka, wyprowadzając słowo liczy na jego promieniowanie wszystkimi zasobami i wartościami. Jeśli więc pojawi się w tytule oszczep, przywołuje sytuację walki i zmagania się człowieka z jego przeciwnikami. Ale zawierzenie nazwie oznacza jeszcze coś istotniejszego. W słowie zawiera się siła twórcza, wypowiedziane słowo materializuje się, wypowiadając nazwę człowiek dokonuje kreacji rzeczy, słowo staje się ciałem. Akt kreacji obejmuje zresztą nie tylko rzecz, ale i pochodne, a nawet całe sytuacje, z którymi rzecz ta bywa związana.

Mamy więc w „Ostrzu” do czynienia z poezją magiczną, gdzie słowo, jego znaczenie jest wszystkim, ono wyprzedza rzeczywistość i powoduje ją do istnienia. Postawy magicznej autorka nie zataja, przeciwnie — przyznaje się do niej. Jeden z wierszy zatytułowała „zaklinacz”, końcowy tryptyk ma w tytule głównym „zaklęcia”, bohaterem „exodusu” jest wróżbita, zaś po różnych wierszach znajdujemy powiedzenia takie, jak „przywołuję odpupanych gestem ramion”, „wejście zaklinam”, „do porządku przywołuję koniec świata”, „ptak — nim go powiesz — sfrunie z mojej dłoni”. Można by tu tylko zauważyć, że magiczność tych wierszy (jej funkcję poetycką mam na myśli) jest nadto eksponowana, zbyt werbalna i jednostronna. Zaklinanie nie musi się dokonywać tylko za pomocą słowa, poza tym zaklęcia magiczne ma własną poetykę, realizuje się na różne sposoby. Można „zaklinać” — nie wypowiadając tego słowa.

Magiczne sposoby, rządzące widzeniem świata w „Ostrzu”, prowadzą nas ku światu pierwotnemu. Cykl „koczowniczy” wskazuje na to wyraźnie, podobnie jak tworzone w wierszach sytuacje i czynności. Byłoby jednak niesprawnie ograniczać poezję Józefackiej do kategorii magiczności. Na tej, ale nie tylko na tej drodze autorka obiektywizuje wiersz, odbiera przeżyciu poetyckiemu osobisty charakter, wypowiadając je pośrednio, wcielając w sytuacje, w których może się odnaleźć adresat wiersza. Każdy człowiek może stanąć wobec „klatki”, nosić w sobie mielące żarna, być Don Kichotem, stać się przedmiotem nagonki.

Sprawa ta ma dwa oblicza. Z jednej strony chodzi tu o rzeczywiste sytuacje egzystencjalne człowieka, z drugiej — o ich konkretyzację w sztuce. W tym miejscu Józefacka odwołuje się już do innych tradycji. W jednym z utworów autorka pisze:

... z powołanych buntowniczków
nie się czerwona chyła przędzła

Nic jest tu pięknym metaforycznym określeniem strugi krwi. Ale dalszy bieg wiersza wygląda następująco:
tuż potowanie to gobełnie
zywa tuż zleżał się oddał

Nic równocześnie zawiera znaczenie dosłowne — czerwoną nitkę, którą artysta wplotł w tkaninę. Tytuł wiersza: „okrutna z chartem” wskazuje na rodzaj wiersza. Tytuł ten mógłby położyć malarz pod swoim dziełem. Utwór Józefackiej jest jakby przetworzeniem obrazu malarzkiego na obraz poetycki, ale „okrutna z chartem” — taki tytuł mógł się znaleźć tylko pod obrazem barokowym. W niektórych wierszach poetyka baroku istotnie dochodzi do głosu, choć odnosi się wręcz, że dokonano się to za pośrednictwem Stanisława Grochowiaka. W tej strofie wiersza bez tytułu:

dłoni laszczka przemyknie jasno
wmięcznie jaśmina słodko i kłutwie
wisielcy o niej już nie zaświadcza
synom wisielczym zaś się uczyni

znac wyraźny przykład „Menueta z poźrzebaczem”, połączenia delikatności ze zmysłowością, żartu z powagą, groteski z makabry.

Alte jest to bodaj jedyna bezpośrednia zbieżność Józefackiej z będącą w obiegu poetyką. Jak na debiutantkę, to bardzo mało. Józefacka przedstawia się jako autorka świadoma swoich celów, o uformowanym już w poważnym stopniu warsztacie poetyckim. Zwraca uwagę wielka romantyzm stowarzonych wczorów wersyfikacyjnych, chwytów artystycznych, technik pisarskich. Ma autorka dar metaforycznego ujmowania rzeczy („wzgórza nad jeńcem zawęzła się ciężar”), w niektórych wierszach ociera się o język potoczny, w innych zaś, zwłaszcza o charakterze balladowym, zachowuje świadomie wieloznaczność, a nawet niejasność i niedopowiedzenie; pozostają balladowe nastroje budowane na istotnych dla tego gatunku motywach. Wieloznaczność wynika także ze stosowania awangardowej elipsy, to jest usuwania pewnych członów zdań, które czytelnik powinien sobie sam odtworzyć, jak też z posługiwania się inwersją, czego od dawna w poezji polskiej nie czyniono. Można to chyba wytłumaczyć wspomnianym już oddziaływaniem poetyki barokowej.

To, co tej do pory powiedziało się tutaj o „Ostrzu”, prowadzi do wniosku, że mimo całej niezależności poetki tom ten umieścić należy w pobliżu tendencji klasycyzującej we współczesnej poezji polskiej. Wyobraźnia autorki żywi się bowiem nie własnymi zasobami, nie dochodzi też do spowiedzi lirycznej. Wypowiada się za pośrednictwem maski, nalożonych i przyjętych ról oraz stalego odwoływania się do zasobów kultury, do przedstawień i sytuacji uniwersalnych. Są na tej drodze widoczne niebezpieczeństwa i ograniczenia, pokusa stylizacji i pastiszu. Ale na razie nie ma potrzeby o to się martwić. Cieszymy się, że jest w „Ostrzu” zapowiedź ciekawej poezji.

Tadeusz Klak

Maria Józefacka, Ostrze. Lublin 1965. Wyd. Lubelskie.

Listy do
KAMENY

„Dialog z Czytelnikiem”
Z ostatniego (21) numeru „Kamenu” dotarł do mnie list, że w związku z wypełnieniem ankiety pt. „Współredaguj z nami „Kamenu” otrzymałem nagrodę w postaci książki. Sprawiło mi to wielką przyjemność, może nie tyle z tytułu otrzymania nagrody, lecz raczej dlatego, że i moja skromna wypowiedź została wzięta pod uwagę.
Artykuł pt. „Dialog z czytelnikiem” przeczytałem z wielkim zainteresowaniem, gdyż mogłem porównać swoją wypowiedź z innymi.
Za nagrodę serdecznie dziękuję i jednocześnie się moc życzeń całego zespołu redakcyjnego — jeszcze lepszego redagowania „Kamenu”, tak, abyśmy wszyscy z niej byli zadowoleni. Życzę, aby „Kamenu” stała się w najbliższym czasie tygodnikiem.
Specjalne życzenia przesyłam mec.

Konradowi Bielskiemu z okazji pięćdziesięciolecia jego pracy w Kole Towarzystwa Przyjaciół Książki.

Jan Wróbel („Wrzos”)
p-ta Susiec
pow. Tomaszów Lubelski

Kicze w „Plastyce”
Lubelski sklep „Plastyka” położony jest w bardzo ruchliwym punkcie miasta, posiada ogromne wirtuozostwo, w których urządzono są małe wystawy malarzy i grafików, mające zapewne znaczenie do zakupu jakiegos dzieła. Prądzie jednak malarzy, wystaw na ogół niechętnie przygotowują widza do odwiedzin sklepu. Bo co one prezentują? Proszę wybaczyć: rzadko sztukę, a najczęściej anachroniczne i nieudolne sztuczki. Dotychczas malunki, które widać w drugim potowic październiku, straszne pejzaże strasznych malarzy. Dużo mówi się w Lublinie o popularności kiczy, lecz w praktyce popularność kiczy, jak można podejrzewać — skuteczność, do sklep i jego wystawy stale są na oczach publiczności. A pomyśleć, że placówka należy do Oddziału Lubelskiego Związku Polskich Artystów Plastyków! Co się dzieje?!

Krzysztof Grzybowski
Lublin

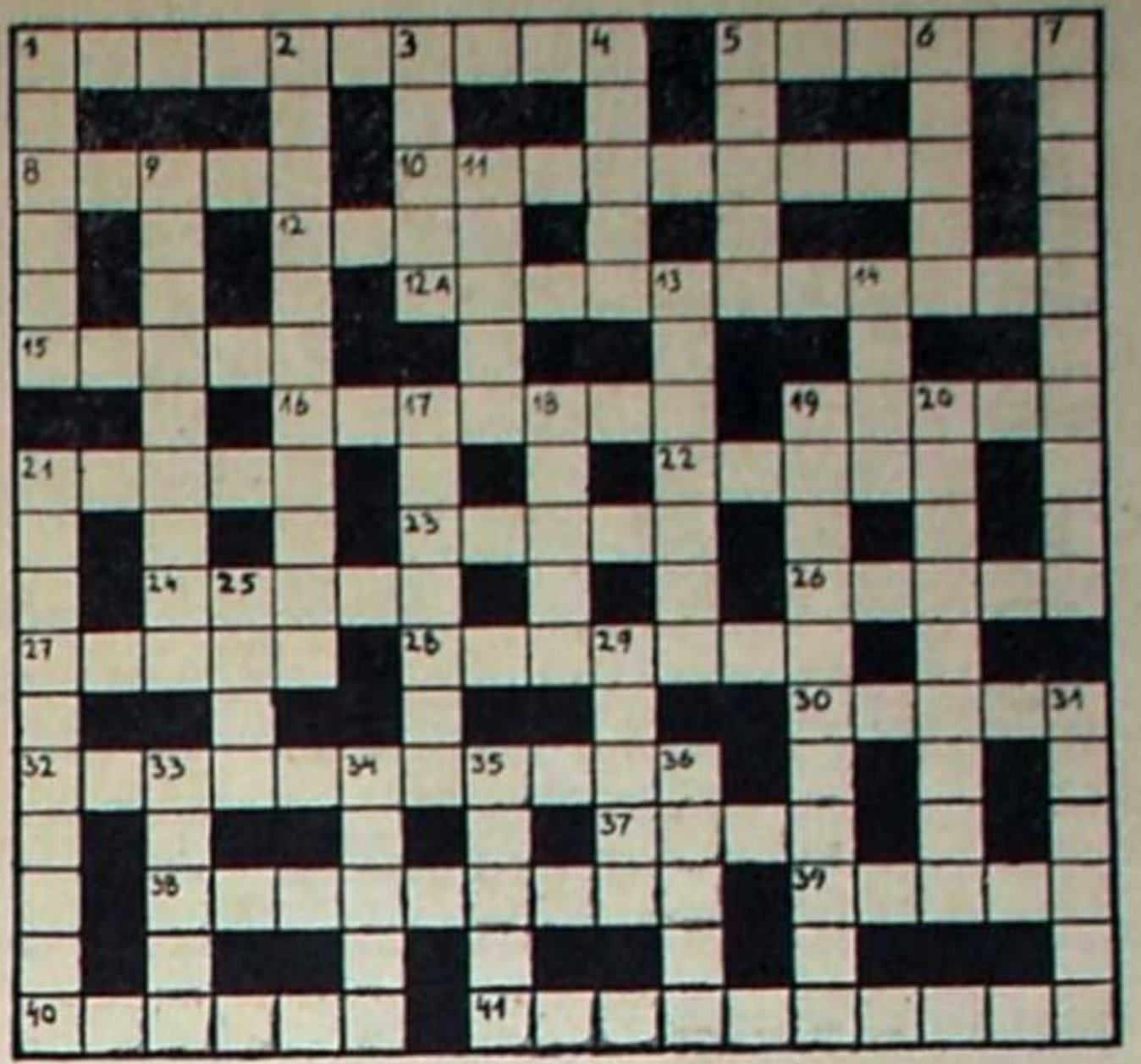
Krzyżówka nr 11

POZIOMO: 1. miasto powiatowe w woj. lubelskim, 2. laureat pokojowej nagrody Nobla w r. 1922, 3. odzyskanie, 15. kraja na pograniczu Turcji, Iranu, Iraku i Syrii, 12. czar, 12A. przenosić, 15. kraja na pograniczu Polski i Słowacji, 16. wywóz towarów za granicę, 18. rasa psa, 21. larwa niektórych owadów, 22. imię angielskiej pisarki powieści kryminalnych, 23. ojciec Parysa, 24. starożytna kraja na terytorium obecnej Rumunii, 25. miasto powiatowe w woj. gdańskim, 27. oblicze, 28. wysokość, 29. przelew uprawnień na inną osobę, 30. kolekcjoner znaczków pocztowych, 31. lotnisko pod Paryżem, 32. wytwórca, 33. np. kapucyni, 40. materiał wybuchowy, 41. imię ukochanej Kmicica.

PIONOWO: 1. ojciec Zeusa, 2. poeta i historyk z XVIII wieku, autor „Historii Narodu Polskiego”, 3. Ketting, 4. starogermański bóg ładu, 5. gołb, plant, 6. wyższa izba parlamentu w niektórych krajach, 7. kierunek w literaturze i sztuce w końcu XIX wieku, 8. dochód z akcji, 11. wrzątek, 12. szablon w sztuce, 14. dyskiem lub oszczepem, 17. rodzaj łopaty, 18. tuszcz roślinny, 19. feudalna renta odrobkowa, 20. sekretarz Zygmunta Starego, 21. dowód, zaślubienie, 22. śpiewany monolog, 23. wielki wąż dusiciel, 24. dzierzawa, 25. miasto powiatowe w woj. bydgoskim, 26. pasta z żabą, 27. miękki zamaz, 28. miasteczko pionierskie na Krymie.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 15 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki Nr 9
POZIOMO: Słowacki, plankton, asparagus, lobuz, szok, Białystok, Oka, wirus, szmer, kos, cera, kilka, Waplelnia, rumba, Ania, lew, palto, motel, ego, lingwafon, Rzym, arkan, rezolucja, adorator, autarkia.



PIONOWO: skarbiec, obawa, chaos, Idaho, Prus, Nalkowska, narwiska, szpak, bierwiono, loza, tur, Koniecpol, sromotnik, era, waltornia, Ina, Ramajana, Atma, agentura, wezyr, pan, ikona, grunt, frank, metr.

Nagrody (bony książkowe) strzymują: Jacek Krankowski Lublin, ul. Lubomelska 8d, Jerzy Budzko, Kielce, ul. Bartosza Głowackiego 5 m. 1, Krystyna Harczuk, Janowice k. Zamościa Technikum Rolnicze, Henryk Zak, Lublin, Puchacza 17 m. 11

O niesłychanym deszczu w Kazimierzu Dolnym

Henryk Gawarecki

NIEOCENIONYM źródłem wiadomości o dawnej kulturze polskiej jest „Bibliografia Polska” Karola Estreicher. Jest ona nadal również niewyczerpaną zbiornicą wiadomości o Ziemi Lubelskiej.

I tak np. pod hasłem „KAZIMIERZ DOLNY” wśród wielu innych natrafiamy na pozycję — „Pieśń nowa — i odnajdując ją w odpowiednim tomie „Bibliografii” stwierdzamy z satysfakcją, iż rzeczywiście odnosi się ona do tego miasta.

Tytuł, tej książeczki brzmi: *Pieśń nowa o gwałtownym deszczu nigdy niesłychanym w Koronie Polskiej. W Kazimierzu Dolnym w roku 1644.* „Pieśń...” drukowana gotycką czcionką, in 4°, liczy tylko 4 nieznaczne strony i podaje wierszem wiele interesujących szczegółów owego żywiołowego nieszczęścia, które dotknęło miasto.

A było to tak: w samo południe, w niedzielę dnia 20 maja 1644 r. nad Kazimierzem przeszła gwałtowna burza połączona z oberwaniami się chmury oraz nawalny deszcz z gradem, trwający cztery minuty. Rwałe potoki wody wpadały z otaczających wzgórz w ulice i rynek:

Wpadła z gór woda w ulice
Poznosiła kamienie
W Ryńku się oknami lała
Sklepy z gruntu wywracała
Jatki, gdzie wszystko bywało
I tam się nie nie zostało:
Wszystko to woda zabrała,
Niewiedzieć gdzie co podziła.

Mosty kamienne i klody
zniosło precz aż na ogrady:
Gdzie były góry wysokie,
Tam teraz doły głębokie...
...Były tam srogi strachy,
Gdy padały na dół gmachy...
Aż mury zapadały,
A drugie ledwo zostały.
Jedne w pół porozrywano
Drugie z gruntu wywracało...

Niektórzy ludzie uciekali w popłochu przed nawalną do kościoła, szukając tam ratunku. Niespodziewana i gwałtowna woda porwała dobytek mieszkańców — stoły, szafy, kufy wina, dzieci w kolebkach, szkatuły z pieniędzmi; bydło, owce, konie, woły porwane gwałtownym prądem wody pływały po Wiśle.

Nawet niektórzy ludzie nie potrafili się oprzeć gwałtownemu żywiołowi: pewna niewiasta i trzech mieszczan woda uniosła do rzeki. Również furman, z wozem naladowanym kufami wina i zaprzęganym w sześć koni, porwany został przez wodę i znalazł się w pół zasypanego w piasku.

Brali każdy kto był czuły,
Na Wiśle, skarby, szkatuły.
Kmiotkowie to sobie brali
W ziemię je zakopowali:
Zęby o tym niewiedziانو,
Cokołtoć wyprawowano.

Nawet gdybyśmy z owych niedułych wierszy odrzucili to co

należało do barokowej przesady epoki i tak pozostaje jeszcze dużo groźnych dla Kazimierza realiów. Dlatego byłoby interesujące zbadać czy poza „Pieśnią...” nie pozostały jeszcze inne dokumenty o tych wydarzeniach, które by je potwierdzały.

Oczywiście pierwszym źródłem informacji mogłyby tu być księgi miejskie Kazimierza. Niestety, choć zachowały się szczęśliwie i przechowywane są pieczołowicie w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie, brak jest jakiegokolwiek odbicia tego kataklizmu na ich kartach.

cow; a zatem zapewne „Pieśń” nie była drukowana w Lublinie.

Należy przypuszczać, iż tłoczono ją na malej prowincjonalnej, a może nawet wędrowniej drukarni. Tak liczne w tym okresie — różnorodnego rodzaju — okazjonalne pieśni nabożne i umoralniające przeznaczone były dla odbiorców gromadzących się licznie na odpustach i jarmarkach. Drukowano je na byle jakim papierze i dlatego ulegały szybko zniszczeniu. Tym się tłumaczy niewątpliwie fakt, że w niewielkiej ilości egzemplarzy „Pieśń nowa” dotrwała naszych czasów.



Jeszcze można by liczyć na księgi parafialne — urodzin, ślubów i zgonów — może tam znajdzie się jakaś wiadomość o gwałtownej ulewie.

Pieśń wydana została bezimiennie, ponadto nie zawiera ona żadnych danych co do czasu i miejsca druku. Pewną wskazówką byłoby tu passus tekstu — stało się w czasie niedawnym — można by zatem sądzić iż nie znany nam rymopis spisywał swoją relację w lat kilka lub kilkanaście po gwałtownym deszczu. Czy opisywane wydarzenie oglądał on na własne oczy? Mogłyby za tym przemawiać: — znaczna ilość szczegółów i realia opisu. Jeśli jednak nie był widzem naczynym a jedynie spisywał wierszem zasłyszane szczegóły tego kataklizmu, to stwierdzić należy, iż tkwiły one nadal głęboko w pamięci mieszkańców Kazimierza.

Autor pieśni, lub jego narrator, nie zapamiętał jednak dokładnej daty dziennej deszczu. Jeśli bowiem miał on miejsce 20 maja, to nie był to dzień niedzielny (najbliższa niedziela wypadła wg. tablic chronologicznych — 26 maja). W egzemplarzu znajdującym się w Ossolineum data 26 maja dopisana jest zresztą wyblakłym już atramentem.

Krój czcionki drukarskiej (gotyckiej), którą składana była „Pieśń nowa...” nie odpowiada tej, jaką dysponowała jedyna lubelska drukarnia Anny Wdowy i jej następców;

Reasumując należy stwierdzić, że niewielki czterostronicowy drucek... o gwałtownym deszczu... wnosí jednak do historii miasta Kazimierza nad Wisłą kilka nowych i ciekawych szczegółów.

»KAMENA«

Plamo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JĘKZY DOTYKATNI (sekretarz redakcji), MARK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DEBECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI (kierownik działu publicystyki), MACIEJ PODGORSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aljea Haciawickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 258-23, sekretarz redakcji i dział publicystyki 258-25

Korespondencje swytkia prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecony i ekspresowy — pod adresem redakcji.

Zam. 2588 22.X.65. 5332. F-4.

Uwaga Czytelnicy!
Wszystkie urzędy pocztowe i listonosze przyjmują prenumeratę „Kamenu” na rok 1970

